

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb 80 kop., z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków 13 marca 1909. Nr. 11.

Zuchwały napad bandytów w Krakowie.



Zuchwały napad bandytów w Krakowie.

W piątek, dnia 5 b. m. zelektryzowała Kraków, podawana z ust do ust wiadomość, że wieczorem, około siódmej godziny, jacyś zamaskowani bandyci napadli na znanego krakowskiego bankiera Izaaka Grajowera w jego mieszkaniu, w oficynie domu Nr. 18, przy ulicy Zwierzynieckiej. Początkowo sądzono, że jest to tylko wytwór fantazyi, podniecone j przesadzonemi opowiadaniami o ostatnich śmiałych włamaniach, jakich dopuszczano się w Krakowie. Wkrótce jednak przekonano się, że wieść była prawdziwą, a tłumy Krakowian pospieszyły na ulicę Zwierzyniecką, oczekując niecierpliwie wyników śledztwa wdrożonego natychmiast energicznie przez naszą policyę.

Koło godziny siódmej, do pokoju w którym siedzieli Grajowerowie, wszedł nagle przez kuchnię, (która była niezamknięta) jakiś nieznajomy mężczyzna z twarzą owiniętą w kraciastą chustkę i zapytał, czy tu jest jego żona. Grajowerowie przerazili się niezmiernie pojawieniem nieproszonego gościa, który raptownie doskoczył do stołu i strącił srebrny kandelabr na ziemię ze świecami, chcąc widocznie zgasić w pokoju światło, poczem rzucił się na Grajowera i począł go dusić. W tej samej chwili wpadło do mieszkania trzech innych mężczyzn. Jeden obalił na ziemię żonę bankiera, a dwaj, zbliżywszy się do Brandsdorferównej, wśród gróźb i razów pięścią poczęli żądać, aby wskazała, gdzie Grajowerowie mają ukryte pieniądze. Krzyki mordowanych obudziły służącą, która zerwała się z łóżka i usiłowała się dostać do sieni. Dopiero teraz spostrzegli ją bandyci. Jeden z nich rzucił się na nią i usiłował ją obalić na ziemię. Rozpoczęło się szamotanie, w czasie którego Daunówna zdołała się wyrwać z rąk napastnika i dopadłszy schodów zaczęła uciekać na podwórze, wołając o ratunek. Widząc, że ucieczka służącej może cały plan popsuć, jeden z bandytów strzelił za uciekającą.

Zuchwały napad bandytów w Krakowie.



Sprawcy napadu:
Roman Bejm, ślusarz z Częstochowy. Józef Słoń, murarz z Kielc. Alfred Hemm, giser z Dąbrowy górniczej. Jan Ślęzak, tokarz z Będzina.

Rozpaczliwe krzyki o pomoc i odgłos strzałów zaalarmowały mieszkańców oficyny i frontowego domu, którzy wybiegli ze swych mieszkań. Bojąc się aby nie odcięto im odwrotu, porzucili bandyci ofiary i z rewolwerami w ręku zbiegli ze schodów. Na podwórzu chciał im zastąpić drogę szewc Flakowicz, bandyci dali do niego dwa strzały, na szczęście także nieszkodliwe. Gdy przerażeni domownicy cofnęli się, bandyci wydostali się na ulicę i w szalonym pędzie rozbiegli się na dwie strony.

W krótkim czasie zjawiły się na miejscu organa bezpieczeństwa i rozpoczęły energiczne śledztwo. Przesłuchano Grajowerów i domowników, przetrząśnięto sąsiednie szynki i zaułki, rozesłano patrole w różne strony miasta, bandyci zniknęli jakby kamień w wodę. Na miejscu planowanej zbrodni znaleziono tylko czerwoną kraciastą chustkę i jeden prawie nowy kalosz, skonstatowano także, że złoczyńcy nic ze sobą nie unieśli. Zeznania domowników stwierdziły, że jacyś nieznajomi mężczyźni już od kilku dni kręcili się po podwórzu domu Grajowerów, jakby chcieli poznać rozkład domu.

Rozporządzając tak skromnym materyałem śledczym, nie ustawała policya w skrzętnych poszukiwaniach za sprawcami zuchwałego napadu, zdawało się jednak, że spełzną one na niczem. Los inaczej pokierował, prędzej, niż się można było spodziewać.

W niedzielę, dnia 7 b. m. wieczorem, przybyło do jednego z domów „wesołych“ na Kazimierzu dwu młodych ludzi o wyglądzie porządnych robotników. Nie żałowali pieniędzy na wesołą zabawę, dopytywali się jednak ciekawie, czy do tego lokalu nie zagląda przypadkiem czasami policya. Gdy nadto jednemu z nich wypadł na ziemię rewolwer, zaczęto dopatrywać się podobieństwa między tymi gośćmi, a ewentualnymi sprawcami napadu, których rysopis znany był z dzienników. Jeden z obecnych, upewniwszy się w swem podejrzeniu, wyszedł na ulicę i spotkawszy patrol policyjny zawiadomił go o swem spostrzeżeniu. Owi podejrzani



Zuchwały napad bandytów w Krakowie: Mieszkanie Grajowerów przy ul. Zwierzynieckiej l. 18 w oficynie, gdzie dokonano napadu (XX).

jegomoście, jakby przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, opuścili tymczasem wspomniany lokal i udali się w stronę mostu podgórskiego, za nimi pospieszyła policya. Gdy agent Russ i plutonowy policyi Mikołaj Mucha, oraz szeregowiec Wojciech Kopeć otoczyli nieznajomych i zażądali, aby udali się z nimi do ekspozytury policyi w Podgórzu, jeden z nich szybkim ruchem dobył z kieszeni rewolwer i wyrwawszy się z rąk policyantowi rzucił się do ucieczki, strzelając za siebie. Przypadkiem nadszedł ze strony Podgórza agent policyjny Iglicki i kupiec Schwarzberg. Iglicki puścił się w pogoń za uciekającymi, a w chwili, gdy jednego z nich chwytał za kołnierz, padł raniony w brzuch kulą z browninga. Drugi strzał ugodził w piersi kupca

Zuchwały napad bandytów w Krakowie.



Żołnierz policyjny, Wojciech Kopeć.



Plutonowy Mikołaj Mucha, który aresztował Ślęzaka.

Schwarzberga, raniąc go niebezpiecznie. Jeden z bandytów puścił się w stronę Podgórza, strzelając nieustannie, drugiemu Bejmowi nie udało się już wyrwać z rąk policyi. Po silnym oporze ubezwładniono go nareszcie i odprowadzono do urzędu policyjnego w Podgórzu. Obaj dzielni policyanci, Mucha i Kopeć, popędzili tymczasem za uciekającym Ślęzakiem i dopadli go wreszcie w domu przy ul. Kołłątaja l. 7, gdzie się schronił w miejscu ustępowem. Po zaciętej walce sprowadzono go związanego do ekspozytury w Podgórzu i tu nadkomisarz dr. Krzyżanowski rozpoczął energiczne śledztwo. Aresztowani wypierali się początkowo udziału w napadzie na Grajowerów, przyciśnięci jednak do muru przyznali się nareszcie i wskazali mieszkanie wspólników. Nadkomisarz dr. Krzyżanowski telefonicznie odniósł się do Dyrekcyi policyi w Krakowie i zarządził przytrzymanie Słonia i Hemma, mieszkających w Krakowie przy ul. św. Jana l. 30.

W poniedziałek rano zarządzono konfrontacyę bandytów ze służącą Grajowerów i ich wychowanką, obie z całą stanowczością rozpoznały przedstawionych im mężczyzn, jako sprawców napadu.

W bieżącym numerze podajemy cały szereg illustracyi, odnoszących się do owego zuchwałego napadu, a zarazem podobizny bezczelnych bandytów, od których na jakiś przynajmniej czas uwolniło Kraków umiejętnie przez dra Krzyżanowskiego pokierowane pierwsze śledztwo.

Zgon zacnego kapłana.

Krakowska kolonia ruska poniosła dotkliwą stratę przez śmierć swego długoletniego proboszcza, ś. p. ks. Jana Borsuka, który zmarł w dniu 4 marca b. r. po długich a ciężkich cierpieniach.

Urodzony w r. 1842 w Sobiecinie, ukończywszy filozofię i teologię we Lwowie, wyświęcony został na kapłana w r. 1871, poczem objął obowiązki duszpasterskie najpierw jako proboszcz w Majdanie koło Sieniawy, następnie w Krakowie. Pierwsze lata pobytu na probostwie krakowskiem nie zaliczały się wcale do przyjemnych. Zaniedbany kościół odstraszał parafian, a w nabożeństwie brała udział coraz to mniejsza garstka wiernych. Poprzednik ś. p. ks. Borsuka, wrogo usposobiony dla narodowości polskiej, niechęci swej dawał głośny wyraz i starał się ją zaszczepić swym parafianom, przenosząc politykę i do cerkwi. Ks. Borsuk, objąwszy nowe stanowisko, wykluczył politykę z kościoła, a pozostając wiernym synem swego narodu, szanował uczucia narodowe Polaków, pozyskał też ogólną sympatyę krakowskiego obywatelstwa. Zasłużony kapłan wziął się z energią do pracy, jego też zasługą jest zupełne odnowienie kościoła św. Norberta, przyczem nie poskąpiło mu wydatnej pomocy i społeczeństwo polskie, głównie rodzina hrabiów Potockich. Mistrz Matejko wziął bezpośredni udział w ozdobieniu świątyni, wspaniały ikonostas według jego kartonów malował znany artysta malarz, Władysław Rossowski. W odnowionej cerkwi zapanowało też i nowe życie duchowe. Ks. Borsuk umiał przyciągnąć parafian, tak, że w czasie nabożeństw świątynia okazała się za szczupłą, a ceremoniał odzyskał świetność, właściwą ruskiemu obrządkowi. W ostatnich czasach ks. Borsuk zapadł ciężko na zdrowiu. Nie pomogły coroczne wyjazdy do Maryenbadu, nieubłagana śmierć



Zuchwały napad bandytów w Krakowie: Kuzynka Grajowerów, Rachela Brandsdorfer.

położyła kres życiu zacnego kapłana, który przez czas 25-letniego pobytu między nami, taktownem postępowaniem umiał sobie zjednać ogólną sympatyę i pozostawił po sobie żal niekłamany. Mamy nadzieję, że i następca wstąpi w ślady swego zasłużonego poprzednika, przyczyniając się w ten sposób do wyrównania przepaści, którą niespokojne duchy kopią między obiema narodowościami, mogącemi, jak się pokazuje, żyć w zgodzie i spokoju.

Złe duchy Serbii.

W życiu politycznem każdego narodu spotyka się często ludzi nawet bardzo zdolnych, których kapitalną wadą jest niczem nieograniczona ambicya i duch niespokojny, skłaniający ich do ciągłego mącenia wody, aby z łatwością w niej ryby łowić.



Stuletni jubileusz pruskiego ministerstwa wojny: Ministrowie wojny (zaczynając od lewej strony): Gen. v. Marchtaler — wirtemberski, gen. v. Hausen — saski, gen. v. Einem — pruski i gen. v. Horn — bawarski.
(Do artykułu na stronie 10).

Typem tego rodzaju polityka jest Mikołaj Pasicz, który świeżo objął w gabinecie Nowakowicza tekę ministra robót publicznych. Jest on znanym wrogiem Austryi, a ślepa nienawiść, jaką żywi do tego państwa, była już niejednokrotnie powodem, że



Zgon zacnego kapłana: Zmarły w Krakowie gr. kat. proboszcz. ś. p. ks. Jan Borsuk.

popychał politykę serbską na drogę bez wyjścia. Znane są jego zatargi, jakie miewał z królem Milanem, a które raz zakończyły się skazaniem go na śmierć, drugi raz zaś wyrokiem na pięcioletnie więzienie, a także niejasne sprawy natury finansowej, gdy przedostatni raz zasiadał w gabinecie.

Obecne wstąpienie do gabinetu Pasicza, który jest jednym z głównych przywódców stronnictwa staroradykalnego, oznacza wprawdzie, że może on liczyć na poparcie tej partyi, ale równocześnie budzi obawy co do pokojowego rozwikłania konfliktu serbsko-austryackiego. Pasicz bowiem, zawsze awanturniczo usposobiony, a cieszący się obecnie dużymi wpływami w kraju, niezawodnie odegra rolę jego złego ducha, dążąc do wywołania zbrojnego zatargu z Austro-Węgrami. Jego rachuby w tym wypadku są tylko odbiciem opinii pewnych kół politycznych Serbii, które rachują na to, że kiedy już będzie z nią bardzo źle, to Europa wystąpi z pośrednictwem i coś da się utargować za jej pomocą. Rachuby to jednak niepewne, mogące fatalnie się zakończyć i dla Serbii i dla dynastyi Karageorgiewiczów.



Złe duchy Serbii: Dr. Mikołaj Pasicz.

Drugim złym duchem Serbii jest obecnie gen. Michał Żiwkowicz, minister wojny. Należy on do tej samej kategoryi polityków, co i Pasicz, którym nie chodzi na naprawdę o dobro ojczyzny, lecz o wysunięcie naprzód swej osoby. Usiłowania Żiwkowicza skierowane do tego, aby wywołać wojnę austryacko-serbską, są tem karygodniejsze, boć przecie jako żołnierz zawodowy zna dobrze dysproporcyę sił zbrojnych Austro-Węgier i Serbii.

Bolesna strata.

Śmierć nieubłagana zabiera w tym roku jednę po drugiej ofiarę z pośród najzdolniejszych przedstawicieli naszego świata artystycznego i literackiego. I znów mamy do zanotowania bolesną stratę na tem polu, a mianowicie śmierć dra Konstantego Maryana Górskiego, który w sile wieku zmarł 5 b. m. w Krakowie.



Bolesna strata: Śp. Dr. Konstanty Maryan Górski.

Ś. p. Górski, jeden z najwykształceńszych naszych estetyków, człowiek obdarzony niepoślednim talentem poetyckim i wytworny pisarz, urodził się w 1862 roku w majątku rodzinnym Wola Pękoszowska pod Warszawą. Gimnazyum i uniwersytet ukończył w Krakowie, a następnie uczęszczał na uniwersytet berliński, gdzie słynny profesor Grimm nakłonił go do poświęcenia się studyom nad historyą sztuki.

Powróciwszy w 1889 r. do Krakowa, wziął ś. p. Górski czynny udział w jego życiu literackiem i artystycznem. Między innemi objął wykłady historyi sztuki w ówczesnej Szkole sztuk pięknych i był przez dwa lata kierownikiem literackim *Czasu* i długoletnim recenzentem teatralnym tego dziennika. W roku 1898 udał się do Paryża z ramienia Akademii Umiejętności, jako kierownik tamtejszej polskiej Stacyi naukowej, skąd powróciwszy, znów podjął wykłady w Akademii sztuk pięknych w Krakowie. Wydał on tom własnych poezyj, tłómaczył znakomicie Horacego, oraz ogłosił sporo artykułów krytycznych z zakresu literatury i sztuki w *Czasie* i *Bibliotece Warszawskiej*. Doskonałem było jego studyum, nagrodzone przez krakowską Akademię Umiejętności, p. t. „Jan III w poezyi współczesnej“.

Po śmierci ś. p. Górskiego pozostało sporo prac jeszcze niewydanych, a między niemi jedna bardzo ciekawa i gruntowna, p. t. „Polska sztuka współczesna“.

Jako człowiek i kolega, zostawia po sobie ś. p. Górski żal szczery i najlepszą pamięć u wszystkich, co zetknęli się z nim bliżej za życia.

Wybryki natury.

(Do illustracyi na str. 9).

Jak wiadomo matka natura rozmaicie obchodzi się ze swemi dziećmi. Jednych wyposaża aż nadto w przymioty ciała i ducha, innych traktuje wprost po macoszemu. Żywy przykład tej rozmaitości podziwiają obecnie Wiedeńczycy w miejskiem panoptikum, gdzie produkuje się obok prawdziwego monstrum, przypominającego raczej słonia lub hipopotama, a nie powiewnych kształtów przedstawicielkę płci pięknej, zupełnie przeciwny wybryk natury. Jest to ośmnastoletnia osóbka, tak filigranowych kształtów, że raczej uważać ją można za laleczkę a nie prawie dorosłą kobietę. Księżniczka Liliput, takie nazwisko nosi owe maleńkie stworzonko, zbudowana jest zupełnie normalnie, choć w miniaturze, a wzrost jej i kształty drastycznie odbijają się od współpartnerki, rozwiniętej nader bujnie, choć w stosunku do wymiarów także wcale proporcyonalnie. Pdobne okazy mieliśmy sposobność oglądać nieraz i w Krakowie, nigdy jednak kontrast nie był tak uderzający, jak łatwo każdy przekonać się może z załączonej fotografii, przedstawiającej olbrzyma rodzaju żeńskiego i jego przeciwieństwo. Ta maleńka, to akurat odpowiednia żona na te ciężkie czasy i jeść to wiele nie potrzebuje i na ubranie materyi tyle nie wyjdzie... choć, jak powiadają w małem ciele często tkwi wielki duch! Więc ostrożnie!



Złe duchy Serbii: Minister wojny, gen. Michał Żiwkowicz.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

11 Ciąg dalszy.

— Przedewszystkiem — rzekł Roggers — unikać hałasu i skandalu. Nie jesteśmy u siebie. Policya francuska jest bardzo formalistyczna.

Wysunęli się z pokoju. Korytarze były słabo oświetlone. Idąc bez szmeru, minęli służącego drzemiącego na krześle i zeszli ze schodów.

Na trzecim piętrze niebezpieczeństwo! Z bocznego korytarza zbliżało się jakieś światło. Zaledwie zdążyli wskoczyć do pokoiku służbowego, przeznaczonego do chowania naczyń. Plecami podparli drzwi, wstrzymując oddech. Usłyszeli jakieś kroki, które zatrzymały się na chwilę, poczem oddaliły się.

Pozostawali tam przez kilka minut, zanim odważyli się wyjść. Pierwszy wysunął się Cockley, który znał już rozkład korytarzy.

Przebyli jeszcze jedne schody i ruszyli wzdłuż szeregu drzwi, z wystawionymi przy progach trzewikami

Cockley trącił Roggersa. Mijali drzwi oznaczone znakiem 000; były one oświetlone. Znowu jest ktoś tam, kogo trzeba się strzedz.

Szły numery parzyste: 60, 62, 64. Z silniejszem biciem serca zatrzymali się przed 66.

Cockley zamierzał już nacisnąć je silnie, lecz Roggers szepnął:

— Zbyteczne, drzwi otwarte.

— Szczęśliwie! Czy to nie gość zajmujący numer 000? Istotnie musiał to być Hawkins w niedyspozycyi! Nie jest to pewnem, bo może domyśla się już czego i czeka za drzwiami przygotowany na ich przyjęcie.

Wolniutko Roggers popycha drzwi, które Cockley nasmarował oliwą po południu.

Roggers wchodzi pierwszy. Niema nikogo, ani za drzwiami, ani w dużym pokoju, do którego przenika słabe światło z sąsiedniego.

Natychmiast zamyka Cockley drzwi, obraca klucz i posuwa zasuwkę. Teraz są u siebie.

Pomimo, iż posuwali się jak najostrożniej, Roggers trącił krzesło i jakiś dźwięczny głos zapytał:

— To ty, Fred?

— Fred, imię Hawkinsa! Istotnie szczęście służy.

Jowialny Cockley nie mógł powstrzymać się od odpowiedzi:

— To my gołąbku!

Słysząc obcy głos, ktoś w sąsiednim pokoju krzyknął i drzwi otworzył na oścież, w tejże chwili stanęła w nich wysoka, piękna postać kobieca w koszuli.

Na widok zamaskowanych szoferów, podobnych do widm, cofnęła się przestraszona i szybko wyciągnęła rękę do dzwonka elektrycznego.

— Zbyteczne — odezwał się Cockley — przeciąłem drut.

Wtedy jednym ruchem jak kot, schwyciła ze stolika nocnego rewolwer Hawkinsa i zmierzyła do nich. Wspaniałą była w negliżu z wyciągniętą ręką z bronią!

— Nie fatygować się — rzekł Cockley — zabawka popsuta.

— Roggers dodał:

— Bez hałasu, nikogo nie dopuszczać do zwierzeń! będzie to najlepiej dla pani.

Chce biedz do drzwi pierwszego pokoju i woła:

— Fred!

— Cockley zagrodził jej drogę.

— Proszę być cicho i natychmiast oddać brylanty mistress Sund.

Pani nie zażenowana swoim negliżem, cofnęła się i składając rewolwer na stoliku, odezwała się z dumną pewnością siebie.

— Przedtem rozmówimy się i dowiem się, kto panowie jesteście.

— Bardzo słusznie księżniczko!

I obydwaj zdjęli z twarzy maski.

— Czy księżna poznaje nas? Czy mamy przedstawić się? Szef policyi z Nowego Jorku, a ja jego pomocnik, Cokley, dla dam Archibald Duncan.

Spojrzała na nich wyniośle; w oczach jej świeciła się śmiałość i szyderstwo:

— Nigdy nie sądziłam, by przeciw jednej kobiecie potrzeba było aż dwóch detektywów i jeszcze takich, jak panowie.

— To też na razie — odezwał się Roggers — ja tylko mam interess do pani mistres Colson.

Wzdrygnęła się jak pies pod uderzeniem kija, gdy usłyszała swe prawdziwe nazwisko.

Mówił dalej.

— Jest pani w naszej władzy. Zanim pani wspólnik tutaj dostanie się, mamy czas panią zakneblować i uspić chloroformem, a potem zbadać dokładnie kuferek z biżuterya i podręczny sak. Czy nie tak?

Rzucała dokoła dzikie z gniewu spojrzenia, gdy Cockley najspokojniej przygotowywał chloroform i gąbkę, nadsłuchując, czy nie wraca Hawkins.

— Pani ma odpowiadać za kradzież biżuteryi i akcyi Sunda; uznana pani jest za wspólniczkę. Daję pani możność pozostania wolną... Pani pisała do Markiza Morailles?

Spojrzała na Roggersa chytrze, chcąc wyczytać z jego oczu całą myśl, lecz ten mówił z zupełnym spokojem.

— Albo list i depesza, którą pani chciała sprzedać istnieją rzeczywiście, prawdziwe lub fałszywe, albo też zmyśliła je pani tylko.

— Istnieją i są prawdziwe, odpowiedziała z nienawiścią, z której poznać można było księżnę Strekow.

— Bardzo pięknie, proszę więc oddać mi te papiery.

— Czy tylko to?... — zapytała drwiąco, spoglądając ciągle na drzwi.

— Tak i prędko! rzekł Roggers tonem rozkazującym. W zamian....

— Cóż mi pan ofiaruje?...

— W zamian i za zwrot brylantów pani Sund, słowo Roggersa i Cockleya, to znaczy, słowo uczciwych ludzi, że pani z Hawkinsem może wyjechać stąd swobodnie, by być powieszoną gdzieindziej.

Wzruszyła ramionami.

— Pozostawiam dwadzieścia cztery godzin do ucieczki, potem zacznę na nowo ścigać, biżuterya bowiem warta jest już coś, ale dwa miliony Sunda przedstawiają ładną sumę.

— Papiery, jakie ofiarowywałam markizowi, stanowią dla mnie nie mniejszą wartość — odpowiedziała z ironią.

— Może być, lecz to są moje warunki, może je pani przyjąć lub odrzucić. A więc?

— Nie.

— W takim razie użyję siły.

— Można mnie nawet zabić.

— Nie zabijemy pani, mistres Colson, lecz uczynimy nieszkodliwą.

W chwili tej rozległo się pukanie, z początku lekkie, potem silniejsze. Twarz jej zajaśniała.

— A więc pani nie chce?

— Nie, nie i nie!

I skoczyła do drzwi, za któremi niecierpliwił się Hawkins, wołając:

— Dolores! Dolores!

Lecz Cockley stalowemi swemi rękami schwycił ją pośrodku pokoju.

— Nędzniku! — zawołała. — Nędzniku! Fred! Jestem zamknięta! Fred! Wywal drzwi.

W chwili tej zamek pod silnym naciskiem pękł; po pracy Cockleya zaledwie że się trzymał. Jak wicher wpadła teraz do pokoju stara dama, z której Cockley zgrabnym ruchem zerwał z głowy siwą perukę i wtedy ukazał się Hawkins z czarnemi włosami z twarzą wściekłą ze złości.

— Ach! doskonale! — zawołał poznając ajentów. — Możemy pobawić się.

I rzucił się na Roggersa, podczas gdy jego towarzyszka, jak tygrysica schwyciła Cockleya za szyję, z siłą, jakiej nie można było domyśleć się u kobiety. Cockley jednak miał się na baczności i przewrócił ją na łóżko, głowę przyciskając poduszkami, ktore ją przydusiły. Usłyszał jak zaczęła charczeć i wtedy dopiero odsunął się od niej. Pochwycony w pół przez Hawkinsa Roggers, naciskając kolanem brzuch przeciwnika wyswodozdził się z tego objęcia, w chwili gdy Cockley spieszył mu na pomoc.

— Pozostań, sam załatwię się.

Cockley nie tracąc z oka mistres Colson, która zaczęła przychodzić do siebie, począł spokojnie przypatrywać się walce. Odepchnięty Hawkins zadał Roggersowi cios nogą w bok, ajent jednak w porę odskoczył, a jednocześnie według metody *jiu-jitsu* uderzył prawą ręką w brzuch Hawkinsa, naciskając muszkuły lędźwieniowe, ciosem zaś kolana zachwiał nim tak, iż bandyta padł na poduszkę, jaką w porę podsunął Cockley, by zagłuszyć upadek.

— Zgniotę cię, ty zgniły wieprzu — zawołał Hawkins.

— Spróbój — odpowiedział Roggers i uchwycił za rękę bandytę, który chciał go przydusić za gardło, a jednocześnie nogą przyparł mu kark.

— O, piękna pani, nie żenuję się! — zawołał Cockley, ściskając rękę mistres Colson w chwili, gdy ta, korzystając z przypatrywania się jego walce, usiłowała zwrócić uwagę Hawkinsa, by podsunąć mu szeroki, składany nóż.

— A pfe! to *improper* i nielojalnie, księżniczko — rzekł Cockley z uśmiechem, konfiskując jej nóż, do czego jednak musiał użyć wiele siły, tak się zawzięcie broniła. — A czy ja mieszam się? Otwarta walka! Ze mnie przykład; tylko przypatrywać się! Ale to nie długo potrwa!

Istotnie walka nie długo trwała. Napróżno Hawkins zielony z wściekłości starał się uwolnić od Roggersa, który wpił się w niego jak pijawka; detektyw, trzymając go za ręce, własnymi jego łokciami tak mu brzuch naciskał z całej siły, iż groził mu zupełnem zgnieceniem. Hawkins próbował opierać się jeszcze, czując jednak, iż już jest pokonany, ledwie zdołał z bolu wyszeptać:

— Poddaję się.

Trzydzieści sekund starczyło.

— Cockley, zwiąż mu ręce i nogi!

Ten spełnił z żywością zlecenie, wiążąc mu dłonie na plecach. Roggers tymczasem poprawił sobie krawat, przygładził włosy i zwrócił się do „Czarnej księżniczki“:

— A teraz chce pani układać się o warunki?

Popatrzyła z litością na Hawkinsa, jak leżał na poduszce z pianą w ustach i rzekła:

— Niech pan powtórzy swe żądania wobec niego.

Roggers uczynił to.

— Zgódź się, z tymi panami porachujemy się jeszcze.

Wahała się. Bandyta ostrym głosem rozkazał:

— Daj im biżuteryę i papiery, ja im więcej jeszcze odbiorę. Całą waszą krew, szpicle!

Walka odbyła się lojalnie — rzekł Roggers uśmiechnięty.—Ty Cockley'u strzeż tego jegomościa, a ja z mistress Colson załatwimy sprawę w drugim pokoju.

Poszła naprzód, smukła i piękna z rozpuszczonemi włosami, okryta tylko koszulą. Po wyjściu zamknęła za Roggersem drzwi, na widok czego Hawkins zazdrosny i wściekły ze wstydu i gniewu rzucił stłumione przekleństwo.

— Nie ruszaj się mój drogi chłopczyku, — odezwał się Cockley rozparty wygodnie w fotelu.—Pamiętaj, że złość źle działa na wątrobę, śledzionę i umysł.

I przytem z komiczną powagą podniósł do góry wskazujący palec.

— Och! gdybym ja ciebie miał w swych rękach! — harczał z wściekłością bandyta.

Cockley udał, że nawet nie słyszał tego i mówił z doktorską powagą:

— Wzruszenia więcej wstrząsają naszym organizmem, niż wszelkie wysiłki i zmęczenie. Tak twierdzą lekarze i trzeba im wierzyć. Dlatego też mój drogi panie Hawkins, nie psuj pan sobie krwi.

— Łatwo szydzić z człowieka, związanego jak kiełbasa.

— To też, szanowny bandyto, mój drogi chłopczyku, na przyszły raz gdy się spotkamy, ja ci dam lekcyę *jiu-jitsu*, a zapewniam, że będzie ona dobrą.

W tym czasie Roggers i „Czarna księżniczka“ przebywali w sąsiednim pokoju. Kobieta ta niezwykłym wysiłkiem woli odzyskała ponowanie nad sobą i całą potęgę swych powabów. Uśmiechała się czarująco.

— Szybko pan się uwinął z tym biednym Fredem. Dlaczego taki mężczyzna jak pan, nie zwrócił się po gentlemańsku do kobiety takiej, jaką ja jestem. Moglibyśmy porozumieć się bez odgrywania tego dramatu.

— Chce pani powiedzieć — odezwał się Roggers nadskakująco — że moglibyśmy odegrać lepiel scenę idyliczną? a nawet może miłosną?

— Dlaczego nie?

I oparta o stół całem swem pięknem ciałem, nachyliła się do samej twarzy Roggersa, by wywołać w nim uczucie pożądliwości.

Roggers widział w niej jednak tylko zdradliwą Dalilę; Hawkins choć zbrodniarz walczył z nim odważnie, miał też litość nad nim, a tylko wstręt do niej.

— A więc — zapytał flegmatycznie — czy chce pani mi oddać list i depeszę?

— Pan więc jest zakochany w markizie, tej wielkiej damie, pełnej cnoty?

— Czekam... odpowiedział.

— Zaraz... — i nie porzucając swych myśli dodała... — To warte jednak pieniędzy... Tak, nas potępiają, wymieniając naszych kochanków, lecz pani Morailles miała także kochanka, a może nawet wielu!

— Czekam.... powtórzył lodowatym tonem Roggers.

— Istotnie, jestem ciekawa, dla kogo pan tak się stara! Dla męża, czy dla tej damy? On może

nagrodzić pieniężnie, ona zapłaci w naturze. Aha! policyant to pracuje z miłości do swego zawodu!

— Słusznie pani powiedziała — rzekł Roggers, sprawdzając naprzód, potem chowając list i depeszę, które mu wreszcie podała.

— A teraz proszę siadać i pisać — dodał.

— To nie było w naszych warunkach.

— Pisać — zawołał tak ostrym głosem, iż ta usiadła posłuszna i wzięła pióro do ręki. Roggers dyktował:

— Przyznaję się, iż kłamałam bezwstydnie, ofiarując panu Morailles list i depeszę za cenę pięćdziesięciu tysięcy franków. Szantaż ten wymyśliłam dla korzyści, nie posiadając żadnych papierów, dotyczących pana Morailles. — Tak! — Teraz proszę podpisać.

— Jak?

— Prawdziwem nazwiskiem: Marya, Dolores Colson.

— Ja jestem księżna Strekow.

— Dobrze, niech pani i to doda, jeżeli to pani sprawi przyjemność, księżno Strekow.

Po stwierdzeniu, że wyznanie to zostało podpisane i zaznaczono datę, Roggers schował je do portfelu. Tymczasem otwarły się drzwi; Cockley wsunął nos i odezwał się:

— Mój gentleman dostanie ataku, jeżeli flirt z księżniczką będzie dłużej trwał.

— Teraz proszę o brylanty... — rozkazał Roggers.

Możliwie najwolniej, walcząc sama z sobą, mistress Colson wydobyła z kuferka wszystkie pudełka i wręczyła je Cockleyowi. Otworzył każde, stwierdził brylanty i schował je do płóciennego worka.

— A teraz — odezwał się Roggers — radzę pani i Hawkinsowi wynieść się stąd jak najprędzej. Jeżeli po dwudziestu czterech godzinach zastanę was tu jeszcze, każę aresztować. Proszę otworzyć te drzwi.

„Czarna księżniczka“ blada z wściekłości, otworzyła drzwi swego pokoju. Słychać było przekleństwa Hawkinsa. Obydwaj detektywi założyli na twarze maski.

— Nie żegnam panów — odezwała się awanturnica — lecz mówię do widzenia! — W głosie jej brzmiała zemsta.

— Do miłego widzenia, rozkoszna damo — odpowiedział Cockley z głębokim ukłonem. — Do miłego, a proszę dobrze opiekować się getlemanem. Przyda mu się wcieranie i masaż. Szczęśliwej podróży! Do nowego spotkania.

XIX.

OBOWIĄZEK DETEKTYWA.

Na drugi dzień rano Roggers po wypoczęciu po tej bogatej we wrażenia nocy, zabrał się do czytania listu i depeszy odebranych „Czarnej księżniczce“.

Posiadając w ręku te dokumenty, odczuł żywą radość z udania się nocnego tak hazardowego przedsięwzięcia, po zapoznaniu się jednak z treścią tej zdobyczy, myśli jego przybrały zupełnie niespodziewany kierunek.

Co ma teraz uczynić z tymi papierami? Zachować je? Czyż ma do tego prawo? Zniszczyć je? Czyż może zawieść zaufanie markiza? A jednak to jest pierwszy jego obowiązek. Ciężkiem dla niego było to postanowienie wobec żywej przyjaźni, jaką czuł dla markiza, wobec szczerości z jaką ten wczoraj zwierzył mu się ze swemi zwątpieniami, ale właśnie rozpraszając te podejrzenia, zbawi jego żonę i w ten sposób odda mu największą przysługę; zwracając zaś mu te papiery, wywołałby w domu swego przyjaciela straszną katastrofę. Oddałby na hańbę kobietę, która nigdy nic mu złego nie uczyniła, której nie znał życia, a dla której czuł tylko sympatyę. Jak bardzo musiała ona cierpieć, jeżeli pisała takie wezwanie o pomoc! Jest to jej tajemnica, zdradzając ją, popełniłby nikczemność! A tego Roggers nigdy nie dopuści się!

Rozmyślania te przerwało pojawienie się bladego, z ubraniem w nieładzie Cockleya, z płóciennym workiem pod pachą.

— Oszachrowani! Wykpieni! Wykierowani! — zawołał, padając na fotel i chwytając się rękami za głowę, jakby chciał wyrwać sobie swe rude włosy.— Roggers zerwał się.

— Bez głupstw, Cockley! Chyba nie dałeś się okraść!

— Okraść! Już teraz mogą okraść!

— Cockley! Cóż się więc stało?

— Powtarzam ci, że jesteśmy na zawsze zagwożdżeni!

— Przez kogo?

— Przez tę przeklętą babę i tego łajdaka.

— Brylanty?

— Wszystkie fałszywe!

— Fałszywe?

— Arcyfałszywe! Nawet oprawa podrobiona. By zabezpieczyć się, jeśli ich przychwycą, wszystko zmienili.

— A prawdziwe brylanty?

— Zabrali z sobą, pozostawiając nam kamyki i blaszki.

— Nie może być!

— Jeżeli wątpisz, idź do jubilerów.

— Och! Ci już rzeczywiście są niezwykli! — odezwał się Roggers z podziwieniem.... Ale można ich jeszcze przychwycić!



Cockley nie tracąc z oka mistress Colson, która zaczęła przychodzić do siebie, obserwował walkę.

— Tak? To goń ich, pewnie na ciebie czekają! Zresztą zagwarantowałeś im dwadzieścia cztery godzin.

— Ale oni zerwali umowę, oszukując nas.

Cockley przejęty tem, nie mogąc pocieszyć się po tem oszustwie, zawołał:

— I tyś ryzykował swoją skórę z tym łajdakiem o takie szkiełka! Och! to nie do zniesienia!

— Jeszcze można wszystko naprawić.

— A tymczasem nagroda Sunda po dziesięć tysięcy dla każdego poszła pod wodę!

Roggers nie mógł powstrzymać się od śmiechu, patrząc na przerażoną minę swego towarzysza, odrazu jednak przystąpił do działania:

— Ureguluj tutaj nasz rachunek; powiedz rządcy, że ścigamy gości z pod 66. Tylko, mój drogi, nie rób takiej pogrzebowej miny!...

— Jeżeli to dla ciebie wesołe!....

— Ma się rozumieć, bardzo wesołe, — odparł Roggers, który pogodził się już z tym faktem. Pieniądze dla niego mniejszą odgrywały rolę, zwłaszcza, że cieszył się posiadaniem papierów, od których zależał honor pani Morailles.

— Wesołe! — przedrzeźniał Cockley. — Ach, tak, bardzo wesołe! A ja z wściekłości chciałem utopić ten worek w numerze 000.

— To uspokoiłoby cię, szkoda, żeś tego nie zrobił! Daj już temu pokój. Idę na policyę, może tam będą co wiedzieli.... Czy nie było ajentów strzegących bramy hotelu.

— Może być, lecz nie widziałem — odparł Cockley niepocieszony. — Gdzie cię będzie można znaleść.

— W barze Japońskim na Montmatre. Będę w pokoju na górze. Właściciel jest jeden z naszych. Jeżeli spóźniłbym się, bądź spokojny.

— Opuścimy Paryż?

— Trzeba.

— I dokąd zajedziemy?

— To będzie zależało od nich. Trzeba dowiedzieć się, czy tutaj już nie sprzedali lepszych brylantów.

— Postaram się o to.

— A więc do widzenia.

W pięć minut potem Roggers opuścił hotel, udając się do pana Morailles.

— Pan Markiz wyszedł — odpowiedział portyer z całą godnością swego urzędu.

— A jak prędko wróci? Mam bardzo pilny interes.

— Pan będzie łaskaw powiedzieć swe nazwisko.

— Abel Smith.

— Zaraz zatelefonuję na górę i dowiem się.

Portier przypomniał sobie, że ten pan został wczoraj zaraz przyjęty, poszedł do aparatu i nacisnął guzik:

— Hallo, Kajetan! Hallo, pan mnie słyszy!.... On jest trochę głuchy, taki już stary. Pan Smith pragnie wiedzieć, o której godzinie pan markiz może przyjąć.... Co?... niech pan mówi głośniej ten biedny Kajetan nie ma już nawet głosu.... Jak?... Aha! prosi, by pan Smith był łaskaw zjeść razem śniadanie.... Gdzie?... Tutaj? Hallo! nic nie słyszę!... Śniadanie w amerykańskim klubie. Dobrze!.. Co? Jeżeli ma czas, by zajechał po pana markiza.... Hallo! między dwunastą, a w pół do pierwszej? Tak?... Dobrze!

Portier powiesił słuchawkę i dodał z uśmiechem:

— Stracił już zupełnie pamięć, ale jakoś jeszcze można się z nim porozumieć.

Roggers podziękował i wyszedł. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze dosyć czasu. Skierował się do banku, gdzie mu wypłacono za czekiem sporą sumę pieniędzy; musiał mieć przygotowaną większą sumę, by w każdej potrzebie jechać choćby na drugi koniec świata.

Wychodząc z banku ujrzał pustą dorożkę, otoczoną tłumem ludzi. Kłóciła się z kozła gruba dorożkarka z policyantem, który z kieszeni wyciągnął swój notes.

— Czy to słyszana rzecz! — wołała. — Mąż pisze protokół ze swej żony. No, mój panie Trachet, to nie bardzo ładnie. I to mnie opisywać, rodzoną żonę, legalną, poślubioną!....

Otoczenie śmiało się; padały dowcipy, dwuznaczniki. Policyant pisał, nie zważając na nic. Dorożkarka o purpurowych policzkach nie ustawała:

— A zresztą ja nie widziałam żadnego znaku! Potrąciłam osobę! To tylko zemsta, że się rozwodzę, a ten pan nie chce się zgodzić!.. A co ja mam za pociechę z niego?

Rozległ się dokoła wielki śmiech.

— A mój pan chciał, bym mu po całych dniach cerowała skarpetki. I nic mu nie smakuje. Nie kocha ani zajączka, ani cielęcinki! Zepsuty żołądek, zepsuty charakter! Publicznie oznajmiam, mój panie Trachet! A jednego dnia chciał mnie klapnąć, mnie, która jednym palcem zgniotłabym go na marmoladę!

Pan Trachet, obrażony stróż pokoju i małżonek, skończył swój protokół:

— Teraz może pani jechać!

— Z pewnością, że pojadę, mój panie mężu! Bardzom zadowolona, że mogę być panu posłuszna! Wio, kokotka, wio! Żeby mnie tylko rozwiedli z tym Herodem!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pogrzeb na górze św. Bernarda: Ks. J. P. Chanoux, rektor hospicyum na górze św. Bernarda.

Pogrzeb na górze św. Bernarda.

Na granicy Szwajcaryi, Włoch i Francyi, wśród niebotycznych szczytów alpejskich, wznoszą się i wierzchołki Bernarda wielkiego i małego. Bernard wielki znajduje się w kantonie Wallis na granicy doliny Aosta, tędy prowadzi na wysokości 2.472 metrów ośmdziesiąt trzy kilometry długa droga wraz z sławnem przytuliskiem, założonem około r. 960 przez św. Bernarda z Mentanii, na miejscu dawnej świątyni Jowisza. W hospicium zamieszkują księża świeccy. Prócz niesienia pomocy podróżnym, zajmują się i studyami teologicznemi. Do ratowania podróżnych pomagają im psy rasy nowofunlandzkiej, które zastąpiły rasę psów bernardyńskich. Obecne budynki pochodzą z XIV. wieku. Bernard mały należy do Alp grajskich. Tędy prowadzi wygodna droga, którą przechodził prawdopodobnie Hanibal. I tu znajduje się przytułek, będący filią hospicium z Bernarda wielkiego.

Rektorem hospicium na małym Bernardzie był przez lat pięćdziesiąt ksiądz J. P. Chanoux, który zmarł w połowie lutego b. r. w wieku ośmdziesiąt jeden lat. Mieszkańcy gór zachowali w miłej pamięci postać czcigodnego starca, który większą część swego życia spędził między nimi, niosąc ratunek zbłąkanym podróżnym, a w wolnych chwilach pracując umysłowo. W hospicium żył ks. Chanoux samotnie, w towarzystwie tylko kilku służących, podlegając bezpośrednio biskupowi z Aosty, zawsze gotowy do rady i pomocy, gdy jej okazała się potrzeba. Ubranie jego, jak i całe życie cechowała nadzwyczajna skromność i prostota. Ubierał się bardzo skromnie w rodzaj długiego, wygodnego kaftana i starą grecką czapkę, która niegdyś podobno była czerwona. Długa, siwa broda, nadawała pełnej słodyczy twarzy charakteru jakiegoś legendarnego patryarchy. Obok hospicium znajduje się ogród, utrzymywany własnoręczną pracą ś. p. zmarłego, a nazwany przez niego „la Chanousia“, zawierający nader ciekawy zbiór roślin alpejskich, których uprawą i hodowlą zajmował się z amatorstwem i ze znajomością rzeczy.

Wśród cichej, a owocnej pracy przeżył wśród gór ukochanych ks. Chanoux najpiękniejsze lata życia, a gdy czuł, iż zbliża się koniec, rozporządził, aby ciało jego pochowano na miejscu, skąd roztacza się widok na Włochy, Francyę, Mont-Blanc i mury cichego hospicium, z którymi Opatrzność związała jego losy. Stało się to według jego woli. Pogrzeb czcigodnego staruszka odbył się w dniu 13 lutego, przy nader licznym udziale mieszkańców gór sąsiednich, którzy tłumnie pospieszyli, aby swemu dobrodziejowi oddać ostatnią posługę. Skromną trumnę złożono na sankach i przewieziono do Pont Serrand, najbliższej wioski włoskiej, gdzie zebrało się duchowieństwo i bractwa kościelne. Stąd przenieśli je górale na swych barkach do kościoła w Thuile, oddalonego od hospicium o cztery godziny marszu. Pochód pogrzebowy, posuwający się pośród ogromnych mas śniegowych wzdłuż stoków górskich, przedstawiał nader malowniczy widok, świadczył zaś o wielkiej sympatyi, jaką cieszył ś. p. zmarły wśród swych sąsiadów, którzy nie żałowali ani czasu, ani trudu, aby, oddając mu godnie ostatnią posługę, odwdzięczyć się choć w ten sposób za dobrodziejstwa, jakich od niego doznali.



Pogrzeb na górze św. Bernarda: Górale niosący trumnę ze zwłokami ś. p. ks. Chounax.



Pogrzeb na górze św. Bernarda: Bractwa i duchowieństwo na czele pochodu pogrzebowego w Pont-Serrand.



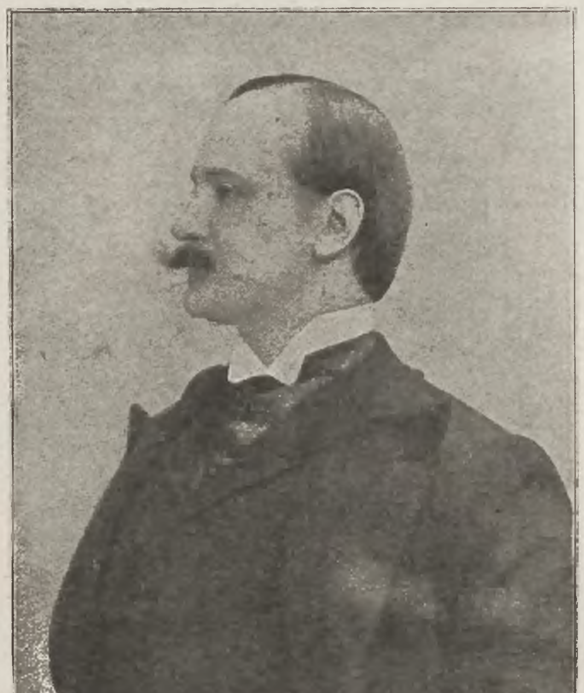
Podróż z przeszkodami: Nowomianowany perski poseł przy dworze wiedeńskim Mustafa Khan.

Podróż z przeszkodami.

Stosunki w Persyi nie zmieniły się wcale na lepsze, kraj cały przedstawia obraz anarchii i zniszczenia, a rząd szacha naprózno wytęża wszystkie swe siły, aby zaprowadzić jaki taki porządek. Sytuacya wewnętrzna odbiła się i na zewnętrznych stosunkach, obecna Persya utraciła resztę znaczenia, jakie jeszcze dotąd miała w świecie. Obietnice rządu przywrócenia rządów konstytucyjnych okazały się mrzonką, niezadowolenie żywiołów postępowych przybiera coraz bardziej na sile. Ale nie tylko w kraju wre ruch rewolucyjny, także i poza granicami potworzyły się komitety rewolucyjne, które podsycają ruch antirządowy. Składają się one z niezadowolonych z dzisiejszego stanu rzeczy, którzy zbiegłszy z kraju z obawy przed prześladowaniami rządu, z zagranicy kierują ruchem rewolucyjnym w ojczyźnie. Główną siedzibą malkontentów jest Konstantynopol.

Perska kolonia w Konstantynopolu zgotowała też niespodziewaną a nieprzyjemną wcale owacyę nowozamianowanemu posłowi perskiemu przy dworze wiedeńskim. Gdy Safael Messalik Mustafa Khan w podróży swej na nowe miejsce przeznaczenia przy-

był do Konstantynopola, zatrzymała go tamże przemocą kolonia perska, nie godząca się z jego nominacyą, jako postanowioną bez zgody medżilisu (parlamentu). Nie pomogły ani prośby ani groźby, pan poseł znalazł się w położeniu bez wyjścia. Wprawdzie nie była to zbyt nieprzyjemna niewola, jednakże dopiero zabiegi dyplomatyczne rządu perskiego i stanowcze wystąpienie rządu tureckiego położyły jej kres, a poseł mógł się udać w dalszą drogę, którą rozpoczął z początkiem lutego. W ubiegłym tygodniu przybył Mustafa Khan do Wiednia i objął swe urzędowanie, pewny, że przynajmniej tu dadzą mu spokój rewolucyoniści.



Zgon mistrza karykatury: Caran d'Ache.

Zgon mistrza karykatury.

Dziwnemi bywają zrządzenia losu, często sprawiające, że ludzie, którzy przez długie lata pobudzali innych do śmiechu, kończą swe życie w głębokiej melancholii, tak, jakgdyby musieli odpokutować za to, że byli kapłanami wesołej muzy. Wielu nawet pierwszorzędnych artystów-komików, wielu artystów-malarzy uprawiających karykaturę, spotkał taki koniec, a uległ mu także mistrz francuskiej karykatury artystycznej, Caran d'Ache, który zmarł w ubiegłym tygodniu w Paryżu, jako melancholik, po dwuletniej chorobie.

Caran d'Ache — prawdziwe jego nazwisko brzmiało Emanuel Poiré — urodził się 1858 roku w Moskwie, jako wnuk żołnierza napoleońskiego, który pozostał w Rosyi po kampanii 1812 roku. Już od wczesnej młodości zdradzał duże uzdolnienie rysunkowe, które okazało się w całej pełni, gdy przybył dla odbycia służby wojskowej do Paryża, gdzie niebawem poznano się na nim. Przełożeni wystarali mu się o miejsce rysownika w ministerstwie wojny, a ta posada, na której miał bardzo niewiele zajęcia, pozwoliła mu oddać się poważnym studyom malarskim.

Wkrótce też nazwisko Caran d'Ache — pseudonim wzięty z rosyjskiego „karandasz“ - ołówek — stało się głośnem. Zasilał on swemi karykaturami, wziętemi ze stosunków politycznych, z życia wojskowego oraz z życia zwierząt, naprzód *Chronique parisienne*, następnie *Tout Paris*, *Caricature* i wiele innych. Sława zaś światowa Caran d'Ache'a datuje się od chwili, gdy paryski *Figaro* zaczął umieszczać jego rysunki, będące arcydziełami humoru, głębokiej obserwacyi psychologicznej i faktury. Oglądając te rysunki konturowe, z których biła taka prostota i łatwość roboty, nie przychodziło nawet na myśl widzowi, ile sumiennych studyów czynił Caran d'Ache, zanim puścił w świat najmniejszą karykaturę. Innym tytułem do popularności Caran d'Ache'a były w jego kompozycyi i wykonaniu produkowane w słynnym kabarecie paryskim „Chat noir“ sylwetki „wielkiej armii“ napoleońskiej.

Caran d'Ache nie był tak złośliwym w swej karykaturze, jak np. Forain, Faivres lub Willetes, ale za to przebija w niej pewna dobroduszność, którą dość rzadko spotyka się u Francuzów. Był on szczególniej znakomitym znawcą wszystkich wojsk europejskich, których żołnierzy rysował z nieporównaną charakterystyką, opartą na znajomości nietylko uniformów, ale i ducha każdej armii. Niezrównanym był także w oddawaniu pojedyńczych osobistości politycznych, a między innemi, on stworzył w karykaturze typ cesarza Wilhelma, który od niego dopiero przejęli rysownicy niemieccy. Karykatury zaś Caran d'Ache'a z życia zwierząt należą do klasycznych w tym rodzaju. Był on bowiem — jak ktoś się dobrze wyraził — tem w stosunku do zwierząt w rysunku, czem był Lafontaine w swoich bajkach.



O fotel prezydyalny: Dr. Robert Pattai, kandydat na prezydenta Izby posłów.

Wyjazd Roosevelta do Afryki.

Jakikolwiek sąd wyda historya o działalności politycznej przedostatniego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Roosevelta, który w dniu 4 b. m. złożył władzę w ręce swego następcy, Tafta, to już dziś można z całą pewnością twierdzić, że był to jeden z najbardziej samodzielnych i energicznych prezy-



Wyjazd Roosevelta do Afryki: Bagaże ex-prezydenta przed załadowaniem na statek.



Dla sławy ojca: Bianca Segantini.

dentów Unii. Prowadził on w dalszym ciągu i rozwinął politykę, zainicyonowaną przez swego poprzednika Mac Kinleya, a zmierzającą do podniesienia nazewnątrz znaczenia potęgi Stanów Zjednoczonych. Przeciwnicy polityczni Roosevelta zarzucali mu, że wbrew tradycyom amerykańskim, zadaleko posunął się w tym „imperyalistycznym“ kierunku, którego celem jest wprowadzenie Stanów Zjednoczonych do „koncertu“ mocarstw starego świata. Pociągnęło to za sobą niebywałe powiększenie lądowych sił zbrojnych Unii i jej marynarki, jako środków uprawiania polityki ekspanzywnej.

Widocznie jednak większość obywateli północno-amerykańskich podziela zapatrywania Roosevelta, skoro jego następcą wybrany został Taft, który głośno oświadczył, że będzie wstępował w ślady swego poprzednika.

Tymczasem Teodor Roosevelt, postanowił, po 25 latach służby publicznej swemu krajowi na rozmaitych stanowiskach, zrobić sobie dłuższe wakacye. W dniu 27 b. m. wsiada on na statek i *via* Neapol udaje się w podróż do Afryki środkowej, obliczoną na dwa lata, a której celem będzie zebranie dla *Smithsonian Institute* w Waszyngtonie okazu tamtejszej fauny i flory. W podróży tej, do której poczyniono nadzwyczajne przygotowania, towarzyszyć będzie Rooseveltowi syn jego Kermit. Jeden z wydawców nowojorskich zakupił już od ex-prezydenta prawo własności opisu podróży i to za skromną cenę jednej korony za każde słowo druku.

Rycina nasza przedstawia część bagaży Roosevelta, pomieszczoną w pakach, na których znajduje się jego adres afrykański, w chwili, gdy mają być wysłane na okręt. Już ta część daje pewne wyobrażenie o sumpcie, z jakim podróż Roosevelta została przygotowaną.

Dla sławy ojca.

Jednem z najwięcej wzruszających i najwięcej chwytających za serce uczuć, jest pietyzm, jakim otaczają dzieci pamięć swoich rodziców. Ludziom jednak, którzy stoją na świeczniku, a szczególniej wielkim artystom, rzadko jest danem, aby ich dzieci umiały pielęgnować w sposób odpowiedni tradycye swych wielkich ojców, aby przypominały światu ich zasługi.

Chlubnym wyjątkiem na tym punkcie jest panna Bianca Segantini — podajemy dziś jej portret — która wygłasza teraz we Włoszech i w Austryi szereg nadzwyczaj interesujących odczytów o swym ojcu, sławnym malarzu włoskim Giovanni'm Segantini.

Z odczytów tych wyłania się w żywej plastyce postać wielkiego malarza pełnych nastroju krajobrazów i scen rodzajowych i fantastycznych. Staje on



Rewolucya w Persyi: Szach Mohamed Ali Mirza ze swoim orszakiem.

przed słuchaczami nietylko w jasnem świetle swego niepospolitego talentu, jako pierwszorzędny artysta, ale także jako człowiek wyjątkowo dobry i szlachetny, obdarzony wyższym umysłem, człowiek, który tylko dzięki swym zdolnościom i pracy, zapisał się trwale na kartach dziejów sztuki przy końcu XIX stulecia.



Rewolucya w Persyi: Abul Gasym Kan, dowódca rewolucyonistów w Tebrysie.

O fotel prezydyalny.

W dniu 10 marca b. r. zbiera się na nowo po przymusowych wakacyach Rada Państwa, której przedstawi Dr. Bienerth swój odświeżony gabinet i spróbuje na drodze parlamentarnej sterować dalej nawą państwową o ile nie przeszkodzą temu wzburzone flukty niemiecko-czeskiego przesilenia. Równocześnie musi się odbyć wybór prezydyum Izby, gdyż jak wiadomo dotychczasowy prezydent, Dr. Weisskirchner powołany został w skład rady koronnej, jako minister handlu. Stronnictwo chrześcijańsko-społeczne, które obecnie zajęło pierwsze miejsce w nowej Izbie, stara się o uzyskanie godności prezydenta dla jednego ze swych mężów zaufania, a ponieważ dotąd nie pojawiła się inna kandydatura, zdaje się być rzeczą pewną, że fotel prezydyalny zajmie dr. Robert Pattai, długoletni poseł i członek Wydziału krajowego.

Stanowisko prezydenta w obecnej kadencyi nie jest wcale do pozazdroszczenia, gdyż przerwana chwilowo walka pomiędzy Czechami a Niemcami, wybuchnie niezawodnie z jeszcze większem nasileniem, gdy blokowi stronnictw słowiańskich przeciwstawi się zjednoczenie stronnictw niemieckich, mających bronić niemieckiego charakteru monarchii.

Dr. Pattai cieszy się opinią znakomitego mówcy i nader bystrego polityka, a dotychczasowa jego działalność każe się spodziewać, że potrafi należycie pokierować sprawami państwowemi, jeśli uda mu się pohamować szowinistyczne zakusy Niemców i jako tako uspokoić i ułagodzić wzburzone umysły czeskie, które obiecują nie przeszkadzać w uchwaleniu konieczności państwowych, jednakże za cenę ustąpienia bar. Bienertha. Gdyby mu się to nie udało a parlament okazał się niezdolnym do pozytywnej pracy, grozi rozwiązanie Izby i rozpisanie nowych wyborów, gdyż bar. Bienerth ma być wy-



Rewolucya w Persyi: Semsan-es-Seltaneh, który ogłosił się władcą w Ispahanie.

posarzony w nader daleko idące pełnomocnictwa. — Kandydat na fotel prezydyalny urodził się w roku 1846 jako syn grackiego adwokata Dra Gwidona Pattaia. Po wczesnym zgonie ojca skończył o własnych siłach szkołę realną i politechnikę, następnie gimnazyum i studya prawnicze, poczem otworzył kancelaryę adwokacką. Do Rady państwa należy od roku 1885.

Rewolucya w Persyi.

Ruch rewolucyjny w Persyi, który starano się z Teheranu przedstawiać, jako prostą ruchawkę, wywołaną przez garstkę niezadowolonych zwolenników zawieszonej konstytucyi, nietylko nie zmniejszył się, ale owszem, coraz to więcej zyskuje na intenzywności. Dotąd głównem siedliskiem „buntowników“, jak urzędownie nazywani są konstytucyonaliści, było miasto Tebrys, stolica prowincyi Azerbejdżan, położonej w północno-zachodniej części kraju, która graniczy z Turcyą i krajem Zakaukaskim, należącym do Rosyi. Teraz atoli rozszerza się rewolucya także na prowincye południowe a mianowicie na okolice miasta Ispahanu. W ogóle władza szacha Mohameda Ali Mirzy sięga w rzeczywistości tylko tak daleko, jak daleko daje się uczuwać siła, zresztą dość nielicznych, wojsk regularnych perskich.

W dzisiejszym numerze dodajemy fotograficzne zdjęcie, dokonane w chwili, gdy szach w otoczeniu licznego orszaku udaje się do meczetu. Obok niego po lewej stronie idzie wielki wezyr, za tym zaś — brat szacha, ks. Szua-es-Saltane, którego niedawno temu schwytali rewolucyoniści gdy wracał z Turcyi i za którego zażądali 25.000 franków okupu. Ceremoniał dworski, jakim się otacza każdorazowy szach, perski, noszący tytuł „króla królów“, godny jest tej szumnej nazwy i odpowiada wszelkim tradycyom wschodnim. Obecny zaś szach, więcej, niż jego poprzednicy, podtrzymuje te tradycye, ratując niemi resztki uroku władzy monarszej, która gwałtownie się mu z rąk wymyka.



Zimowe manewry w Alpach: Pozycya włoskiej artyleryi górskiej.



Wybryki natury: Księżniczka Liliput, produkująca się obecnie w Wiedniu w porównaniu z dziewczyną olbrzymem.

Dwie inne ryciny przedstawiają dwóch wybitnych przywódców rewolucyjnych, a mianowicie: naczelnika szczepu Bachtiarów, nazwiskiem Semsan-es-Saltaneh, który ogłosił się udzielnym konstytucyjnym władcą w Ispahanie i Abul Gasym Kana, który odznaczył się jako jeden z dowódców podczas walk rewolucyonistów, trwających już od dłuższego czasu z wojskami szacha w Tebrysie.

Stuletni jubileusz pruskiego ministerstwa wojny.

Prusy, państwo *par excellence* militarne, od czasu, gdy objęły stanowisko kierujące w Niemczech, t. j. od 1866-go roku, czynią co tylko jest w ich mocy, aby we wszystkich Niemców wpoić kult bałwochwalczy dla siły zbrojnej. Jednym z objawów tego kultu był nader uroczyście obchodzony zeszłego tygodnia w Berlinie jubileusz stuletni istnienia pruskiego ministerstwa wojny.



Zimowe manewry w Alpach: Włoscy strzelcy alpejscy za wałem śniegowym.

Ministerstwo to, założone za czasów największego upokorzenia i osłabienia Prus po przegranej wojnie w 1806 roku, oddało temu państwu rzeczywiście olbrzymie usługi. Pierwszym ministrem wojny był genialny Scharnhorst, jeden z twórców systemu uzupełnianiu wojsk, przy krótkoterminowej służbie prezencyjnej, zapomocą rezerwy i landwery, który to system wydał nadzwyczajne rezultaty w wojnach od 1812 do 1815 roku, a następnie został przyjęty przez wszystkie państwa kontynentalne w Europie. Obecnie generał von Einem, jest 21-ym z rzędu pruskim ministrem wojny. Wśród jego poprzedników jedno z najwybitniejszych miejsc zajmuje generał Roon, uważany wraz z Moltkem za głównego organizatora zwycięstw niemieckich w wojnie z Francyą, które ugruntowały jedność Niemiec, zmieniły hegemonię Prusom, a Hohenzollernom dały koronę cesarską.

Rycina nasza przedstawia pruskiego ministra wojny w otoczeniu ministrów wojny trzech największych państw związkowych, tj. Bawaryi, Saksonii i Wirtembergii, które zachowały cień odrębności w Rzeszy niemieckiej. Ministrowie ci przybyli na uroczystość wyżej wzmiankowaną do Berlina, aby wysłuchać odpowiedniej mówki cesarza Wilhelma i dać wyraz jedności armii niemieckiej, złożonej z rozmaitych kontyngentów.

Ze względu na ogólną sytuacyę polityczną w Europie zjazd ten ministrów — aczkolwiek o tem nie mówiono głośno — dał im niezawodnie sposobność ustnego porozumienia się w sprawach, tyczących się mobilizacyi i bojowej sprawności armii niemieckiej. Nie jest bowiem absolutnie wykluczonem, że Niemcy, jako sojusznik Austro-Węgier, mogą nagle znaleść się w konieczności dobycia oręża przeciw tym, którzy wystąpiliby do walki z monarchią Habsburgów.

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

(Ciąg dalszy).

— Otóż tego nie mogę zrozumieć: nie wiem jakiego rodzaju dowody ma policya, lecz jeden z moich sąsiadów, pobudzony ogłoszoną nagrodą, odkrył dwa fakty, trudne do wytłómaczenia. Przypomina pan sobie brylant, jaki panu pokazywałem podczas pierwszej pana bytności?

— Tak, bardzo dobrze.

— Sąsiad mój Muskin spostrzegł podobno, iż w pierścionku, jaki sir John nosi na dewizce, brak brylantu. Ponadto wydostał on parę starych trzewików baroneta i sprawdził, iż one najzupełniej nadają się do śladów, jakie zauważono w szopie po zbrodni. Kawałek gliny z odciskiem tej stopy, wysuszył na kominie i teraz pilnie go strzeże.

— Jest to widocznie jegomość bardzo sprytny — zauważył Hammerton — możnaby powiedzieć, że wszedł on na dobrą drogę.

— Lecz pan chyba nie uważa baroneta za winnego — zawołał Wilfred, zapominając, iż sam już był skłonny do podejrzewania go.

— Należy zbadać całą sprawę. Przypomina pan sobie zapewne, iż gdy mnie pan odprowadzał, za pierwszej mojej bytności tutaj, do hotelu, wspomniałem o spotkaniu w Greenleafhurst pewnej znajomej osoby?

— Owszem, a więc?

— Osoba, którą widziałem, była to żona pańskiego ojca, której śmierć ogłoszono potem w dzienniku.

— Tak, pisał pan o tem w swym liście.

— Co mogła tu robić pani Alliston? Kogo chciała widzieć? Nie mogłem wtedy rozpytywać się w miasteczku o nią, gdyż prawdopodobnie nie nosi już nazwiska pańskiego ojca. Przyznam się jednak, iż śledziłem ją aż do miejsca, w którem skryła się, a były to zabudowania zamkowe. Wówczas nie zwróciłem na to uwagi, obecnie jednak wobec tego, co mi pan mówi...

— Przypuszcza pan, iż sir John ją znał? — zapytał przerażony Wilfred.

— Właśnie takie jest moje zdanie: wierzę teraz, iż pani Alliston spostrzegła, że jest śledzona i schowała się w ogrodzeniu zamku, gdzie zapewne miała spotkanie z sir Johnem.

— Potem jej pan tutaj nie spotkał?

— Nie i to jest najgorsze. Nie przypuszczam, by poszła do samego zamku, spodziewałem się więc słusznie, że będzie wracała na kolej i pilnie uważałem na drogę, nie widziałem już jej jednak.

— Lecz czego to wszystko ma dowieść? Sir John zapewne wcale jej nie znał.

— To nasuwa nam dwa tłómaczenia: przypuśćmy naprzód, że sir John i ona porozumieli się co do popełnienia tej zbrodni, wtedy konieczność poinformowania go, jak rzeczy stoją, tłómaczyłaby jej wizytę; jeżeli zaś jest ona dla niego obcą, to czyż to nie dziwne, że on nic nie wspominał o tej odwiedzającej go kobiecie, zwłaszcza, iż policya jej poszukiwała?

— Lecz jeżeli ona nie wyjawiła kim jest, jak sir John mógł domyśleć się, że ona to odegrała jaką rolę w śmierci mego ojca?

— Ach, ona mogła nie powiedzieć swego nazwiska? Dlaczego ona w takim razie przebyła drogę z Londynu tutaj, by widzieć baroneta? Jakaż inna sprawa mogła ją tu sprowadzić? Nierozsądnem jest przypuszczać, że sir John i ona, należeli do jednego towarzystwa i mogli być z sobą w stosunkach; przyjechałaby z kolei powozem, a nie pieszo. Niech pan przypomni sobie okoliczności jej śmierci, umarła w najzupełniejszej biedzie bez grosza w kieszeni. O ile pamiętam, to gdym ją widział, suknie jej nie wskazywały na nędzę, o innych jednak szczegółach z powodu doznanych wówczas wrażeń zapomniałem.

— Wszystko to niezwykle dziwne — rzekł Wilfred — w każdym razie wychodzi na jaw jakaś łączność sir Johna z tą kobietą.

— Tak, lecz ja nie wnioskuję z tego tak prędko, by on był winien.

— Jakto! Dlaczego?

— Warunki, w jakich znaleziono umarłą, najlepiej świadczą. Mało prawdopodobnem jest, by taki człowiek, jak sir John, pozostawił w opuszczeniu i ostatniej nędzy kobietę, która posiadała jego tajemnicę. Jeżeli nie miłosierdzie, to roztropność skłoniłaby go do zapewnienia jej koniecznych potrzeb. O ile zaś znam panią Alliston, nie była ona skłonną do poświęcania się dla zabezpieczenia kogoś od kary. Już choćby z uczucia zemsty nad człowiekiem, który ją opuścił bez pieniędzy, ścigałaby go swoją nienawiścią.

— Pewny jestem, że sir John nie jest takim bez serca.

— Człowiek, który dopuszcza się zbrodni, na wszystko może się ważyć.

— Mimo wszystko nie uważam sir Johna za zdolnego do morderstwa, nawet nie mogę go posądzić o najbierniejszy udział. Przysięgam panu, iż poczytuję sobie za obowiązek nie pomijać najmniejszego śladu, lecz w imię sprawiedliwości protestuję w tym wypadku: jeżeli nie za winnego, to choćby za wspólnika mógłbym uważać baroneta, czuję jednak i jestem moralnie przekonany, że sir John Lesterham nic więcej odemnie nie wie o tej zbrodni.

— Zupełnie podzielam pańskie zdanie; choć nie znam go osobiście, nie wiem, dlaczego nazwisko jego miałoby być wmieszane do tej sprawy; przypuszczam raczej, iż możnaby go znaleźć w liczbie osób zainteresowanych poszukiwaniem zabójcy.

— Pewny tego jestem; jeżeliby miał najmniejszą możność poinformowania policyi, nie oszczędziłby sobie żadnych trudów, by to uczynić.

— Tak, lecz w jakiż sposób mógł zgubić ten brylant w szopie, gdy zbrodnia tam była spełnioną? I dlaczego obuwie jego nadaje się dokładnie do odkrytych śladów?

Przez kilka chwil Wilfred chodził gorączkowo po pokoju, nic nie mówiąc. Nagle zatrzymał się, jakby znalazł szczęśliwą myśl.

— Muskin jednak powiedział mi, że kupił te trzewiki od stangreta z zamku. Czy przypadkiem nie on miał ich wtedy na nogach?

— Jakiego rodzaju to człowiek?

— Nie, to niemożliwe: jest to jeden z najdzielniejszych chłopców w miasteczku, łagodny, iż muchy nawet nie zabiłby. Nie, myśl ta jest bez sensu.

— Zdaje się być widocznem, iż brylant ten należał do osoby, która pozostawiła i te ślady. Kamień ten w oczach policyi nabrał wielkiego znaczenia.

— Jeszcze panu nie powiedziałem, że przyszli wczoraj do mnie po niego policyanci.

— Jakto! Przyszli?

— Tak, otrzymałem urzędowe wezwanie, by go im oddać.

— Widocznie w ich mniemaniu brylant i ślady mają pewną wspólność...

— I oskarżają sir Johna — dodał Wilfred zrozpaczony.

Hammerton wzruszył ramionami.

— Jesteśmy bez wyjścia; uważam się za zwyciężonego; obecnie możemy tylko czekać; skorzystam z pierwszej sposobności, by powiadomić detektywów, że jestem do ich dyspozycyi. Nie wątpię, że mam jeszcze dla nich znaczenie, jako świadek.

— I ja, jak się dowiedziałem wczoraj od sierżanta policyi, mogę być wezwany. Nie powiedziano mi tego wyraźnie, dano jednak do zrozumienia, iż obecność moja może być potrzebna.

— W takim razie może być pan pewny, że będą pana potrzebowali — rzekł Hammerton, powstając — obecnie muszę już iść.

— Ależ pan zostanie na kolacyi — prosił Wilfred.

— Proszę mi wybaczyć, lecz od tego wypadku kładę się wcześnie spać; muszę jeszcze zważać na siebie.

— Spodziewam się, że wkrótce będzie pan już zupełnie zdrów — rzekł Wilfred, ściskając serdecznie podaną dłoń.

— Nie wątpię, że to nastąpi. Pozostaję w hotelu Kolejowym około dwóch tygodni, często więc będę tu zaglądał; nie zdziwi się pan, gdy mnie znowu ujrzy niespodzianie. Do widzenia.

Przy słowach tych jubiler pożegnał się i zaraz odjechał.

XII.

Lady Lesterham siedziała w bibliotece przy biurku i szybko pisała: tworzyła powieść, zapewniając męża, iż będzie ona miała wielkie powodzenie i przyniesie znaczny dochód. Od czasu nieudania się małżeństwa Gracyi z pewnym bankierem londyńskim, w tej powieści widziała nadzieję poprawy położenia materyalnego rodziny Lesterham. Sir John słuchał zapewnień żony z powagą, starając się nie okazać pewnego sceptycyzmu i ograniczył się tylko do zwrócenia uwagi, czy jej zawód literacki nie przyniesie uszczerbku sławie ich starego rodu. Nie dała mu się jednak przekonać, utrzymując, iż wiele osób z najpierwszych rodzin, zajmuje się pracą pisarską i korzysta z zysków, jakie ona przynosi. Mąż uległ, ofiarując się za korektora rękopisu, ale i na to nie przystała lady Lesterham, mówiąc, iż da mu swój utwór do przeczytania dopiero po skończeniu całości.

Z tych też powodów żona baroneta siedziała sama w bibliotece i gorączkowo pisała. Mimo bladości cery i pewnego zmęczenia w oczach, twarz jej wydawała się piękniejszą, niż kiedykolwiek; w postaci widać było zwykłą jej wyniosłość, na cienkich zaś wargach błąkał się lekki, wzgardliwy uśmiech.

Zapukano do drzwi i rozległ się głos sir Johna z zapytaniem, czy może wejść.

— Proszę — odpowiedziała.

Wymawiając to, przewróciła na drugą stronę arkusz papieru.

— Nie chciałem wchodzić niespodzianie — rzekł baronet — by nie poznać przypadkiem ukrywanych tajemnic stanu.

— Och! Niema obawy — odrzekła z umyślnym uśmiechem. — Nie wiem, cobyś mógł poznać, gdyż obecnie piszę nudny rozdział, jakie zazwyczaj czytelnicy opuszczają bez czytania.

— W nic nie chcę teraz wnikać. Przyszedłem tylko powiedzieć, że jadę do miasta i zapytać, czy nie masz jakiego interesu.

— Nie, dziękuję — odparła po chwili namysłu — niczego nie potrzebuję; jedź, ja pozostanę przy swej powieści.

Zaledwie baronet wyszedł, lady pochyliła się znowu nad biurkiem i zaczęła pisać. Nie długo to jednak trwało, gdyż po niecałej godzinie odgłos galopu konia w parku oderwał ją od pracy. Sir John powrócił i zdawał się bardzo spieszyć; podeszła do okna.

Musiało go coś zaniepokoić, gdyż zawołał głośno na stajennego i szybko zeskoczył z konia. W chwilę potem stał już przestraszony przed żoną:

— Ta dziwna historya... ojciec młodego Allistona... wiesz... — mówił bezładnie.

— Więc co? Co się stało? Mów.

— Co się stało? — powtórzył, padając na fotel i rzucając na ziemię szpicrutę. — To się stało, iż policya mnie podejrzewa.

— Boże wielki! To nie może być! — zawołała, kładąc mu ręce na ramieniu. — Co za szaleństwo! Co oni odkryli? Czy powaryowali?

— Chyba — odrzekł sir John, dysząc jeszcze ciężko od szybkiej jazdy — nigdy w życiu nie słyszałem o podobnem głupstwie; a jednak tak jest; sam widziałem, jak na mnie wskazywali, gdym jechał.

— Skąd? — zapytała podniecona, jakby ten cios zdołał ją wreszcie wyprowadzić z jej zwykłej zimnej równowagi. — Mów! Powiedz mi wszystko! Gdzieś był? Co ci powiedziano? Mów!

Przysunęła się do męża, by lepiej słyszeć każde jego słowo i schwyciła go za ręce.

— Byłem w mieście i przejeżdżając koło policyi, zatrzymałem się, by spytać, co słychać nowego o zbrodni. Zachowanie się inspektora względem mnie wywołało me pierwsze zdumienie; dotknął się niedbale swej czapki i odpowiedział mi, że nie niema do zakomunikowania. Naturalnie, że taka sucha odpowiedź nie mogła mnie zadowolić, ponowiłem więc swe pytanie i wobec mej stanowczości wybąkał coś, jakieś głupstwo o otrzymanych rozkazach nie mówienia nic nikomu. „Nie rozumiem tego, odrzekłem: mam prawo do stawiania tych pytań“. Wtedy wyznał, iż wydano polecenie, aby z zapytaniami zwrócono mnie do dyrekcyi policyi w Londynie. „Chyba, mój przyjacielu nie posądzają mnie, odezwałem się, bym brał udział w tej sprawie?“ Na to oznajmił mi, iż żałuje bardzo, lecz musi być posłuszny swym instrukcyom. Byłem rażony, jak piorunem. Wychodząc z urzędu, spostrzegłem, jak policyant wskazywał mnie detektywowi z Londynu. Poznałem go natychmiast, na ulicy również policyanci przypatrywali mi się. Wreszcie jeden z urzędników, który w ciągu dwudziestu lat zasiadał ze mną w trybunale, widząc, że przejeżdżam, przeszedł ostentacyjnie na drugą stronę drogi, by mnie uniknąć. Co to wszystko może znaczyć?

— Czy nie powiedzieli, dlaczego cię podejrzewają?

— Nie, nic; znajduję się w zupełnych ciemnościach; zatelegrafowałem zaraz do Radforda, prosząc, by dziś wieczór przyjechał.

Radford był adwokatem sir Johna.

— Ach! To była doskonała myśl — rzekła zaraz lady. — Radford może będzie mógł łatwiej porozumieć się z tymi ludźmi, niż ty.

— Ty... — zawołał sir John, powstając nagle i patrząc żonie prosto w twarz — ty nie wierzysz w to oskarżenie?

— Ja! Cóż znowu! Jak możesz myśleć, Johnie! — objęła go przy tych słowach rękami i pocałowała w czoło. — Mogę przysiądz na Ewangelię, żeś niewinny, jeżeli cię to uspokoi. Przecież to szaleństwo! Policya uzna swój błąd i zapomnisz do jutra o tym przykrym wypadku.

— Oby tak się stało, lecz według tego, co wi-

działem, sądzę, że oni mają zamiar prowadzić dalej to, co zaczęli. Zaaresztują mnie i przynajmniej kilka dni będę musiał spędzić w więzieniu w Londynie, zanim zdołam wykazać swą niewinność! Pomyśl tylko o hańbie, jaka stąd wyniknie!

Wziął ją za szyję i serdecznie uścisnął.

— Moje biedne dziecko — dodał drżącym ze wzruszenia głosem — jakże żałuję, że choć mimowoli ten cios przynoszę ci. A Gracya, moja mała Gracya, oszczędź jej tej smutnej nowiny.

Siadł, zakrywając sobie twarz rękami; nagle podniósł głowę i zawołał przestraszony:

— Czy przypominasz sobie? W noc zbrodni byłem nieobecny w Greenleafhurst, czego można dowieść. Bawiłem w Dunstead na fermie młodego Headsleya, u którego nocowałem. Czy pamiętasz? Headsley chciał sprzedać mi swą fermę i wyjechać, lecz nie mogliśmy się zgodzić.

— Poślij w takim razie po niego! Niech stangret zaraz jedzie i przywiezie go tutaj.

Skierowała się odrazu do drzwi.

— Zatrzymaj się! — krzyknął, jak oszalały. — Headsley wyjechał przed kilku dniami, sprzedał już swoją ziemię: opuścił Anglię z całą rodziną.

— Pojechał... — powtórzyła zamyślona, potem podbiegła do niego i wzięła go znowu za ręce. — Kto teraz powie, gdzie byłeś tej nocy?

Tymczasem, gdy na drugi dzień po wizycie u Wilfreda, Hammerton odpoczywał po śniadaniu w hotelu Kolejowym, rozmyślając nad oskarżaniem sir Johna, z zadumy tej wyrwał go gospodarz, przynosząc mu list, adresowany do hotelu w Londynie. Pozostawił tam swój obecny adres, aby nie zawiadamiać wszystkich znajomych o ciągłych zmianach miejsca.

Otwierając kopertę, zdziwił się, nie widząc tam listu od jakiegoś z przyjaciół, lecz pismo właściciela hotelu. Powiadamiał on go, że jakiś jegomość, nazwiskiem Barton, należący z wyglądu do klasy robotniczej, przychodził kilka razy, pytając się o Hammertona i oznajmił, że zjawi się jeszcze raz na drugi dzień, gdyż ma bardzo ważną wiadomość do zakomunikowania mu, a nie chce jej udzielić piśmiennie. Jubiler przypomniał sobie odrazu to nazwisko: Barton, był to ten chory, któremu przyrzekł sto funtów sterlingów za wiadomości o pani Alliston. Prawdę mówiąc, nie potrzebował już jego usług, uznał jednak, iż musi coś dla niego uczynić, choćby przez wdzięczność za pomoc, jakiej doznał od niego w tym złowrogim dla siebie dniu. Czy dosyć będzie, jeżeli prześle dla niego trochę pieniędzy?

A czy on tylko po to przychodził? Jeżeliby tylko po pieniądze zjawił się, wtedy przy pierwszej swej bytności wspomniałby o tem. Może on zna tajemnicę pani Alliston, której Hammerton nawet nie podejrzewa? Może zmuszony nędzą, wyda wszystko, nazwisko jej wspólnika, który prawdopodobnie dokonał zbrodni? Znajomość z Bartonem warta jeszcze pewnego zachodu.

Początkowo po namyśle jubiler miał zamiar wezwać Bartona do Greenleafhurst, potem jednak porzucił ten zamiar. Barton mógł obawiać się i nie zgodzić się na opuszczanie Londynu. Był to człowiek, który prawdopodobnie miał wiele danych, by nie zwracać na siebie uwagi policyi i podejrzewać, że na niego zastawiają pułapki. Zdecydował się pojechać sam. Dał znać natychmiast Wilfredowi, że nie będzie obecny przez cały dzień i zatelegrafował do Londynu o swoim przyjeździe. Nie mógł domyśleć się, w jaki sposób Barton zdobył sobie jego adres, gdyż mu go nie dawał: spotkanie naznaczył mu wówczas na dworcu w Farringdon-Street i biedny robotnik czekał tam pewnie na niego długo, podejrzewając, iż stał się ofiarą jakiegoś oszustwa.

Koło południa przybył Hammerton do Londynu i udał się zaraz do hotelu; powiedziano mu tam, iż Bartona jeszcze nie było. Postanowił czekać na niego, pod żadnym jednak warunkiem nie zgodzić się wyjść z hotelu: pierwsze doświadczenie nauczyło go ostrożności. Dopiero pod wieczór oznajmiono mu przybycie Bartona: wyszedł zaraz do niego; robotnik wydał się być w wielkiej nędzy; na jubilera spoglądał z pewną podejrzliwością, ten jednak przyjął go z zupełną życzliwością:

— Jak pan odszukał mój hotel? Przypominam sobie, iż nie dawałem panu adresu.

— Tak, ale słyszałem rozmowę starej, która nazwała ten hotel; przez długi czas nie mogłem go sobie przypomnieć, przyszedłbym bowiem wcześniej.

— Dobrze, lecz cóż teraz pana do mnie sprowadza?

Robotnik rozejrzał się dokoła z bojaźliwem wahaniem. Hammerton, odgadując powód jego niechęci, szukał miejsca odosobnionego, dokąd mógłby zaprowadzić swego gościa. Skierował się na koniec halli i otworzył drzwi do małego pokoju, przeznaczonego do korespondencyi.

— Proszę, niech pan wejdzie, pokój jest pusty, możemy w nim załatwić swoją sprawę. Może mi pan powiedzieć wszystko bez obawy, aby być podsłuchanym. — Zamykając za sobą drzwi, dodał: Nie mam potrzeby wspominać panu, iż zapłacę dobrą cenę za wszelkie pożądane dla mnie informacye.

Barton siadł niezgrabnie na brzegu krzesła, Hammerton zaś zajął miejsce naprzeciw niego po drugiej stronie stołu.



To dobrze! To dobrze! — zawołał robotnik z błyszczącemi oczyma na widok rozłożonych pieniędzy...

— No i cóż, proszę — odezwał się tonem zachęcającym.

— To, proszę pana, z powodu tej kobiety...

— Z powodu pani Alliston chce pan powiedzieć?

— Nigdy nie słyszałem jej nazwiska, lecz to ta, co najęła mnie, pan wie, do tej sprawy w domu.

— Tak i co?

Robotnik kręcił się na krześle zażenowany, rzucając dokoła siebie niespokojne spojrzenia. Po minucie odezwał się szeptem:

— Ale pan mi przysięgnie, że nie zawoła policyi? Ja przyszedłem dlatego, bo mi pan obiecał wtedy...

— Och, co do mnie, może pan być pewny, iż wyjdzie tak swobodny, jak tu wszedł. Nic o panu nie wiem takiego, bym musiał wzywać policyi.

— To jeżeli ja panu powiem coś, ile mi pan da? Widzi pan, ja mogłem to samo powiedzieć policyi, ale wtedy odprawiony byłbym z kwitkiem. Za nic dawać tajemnicę, to się nie opłaci, a wiem, że pan chciałby ją poznać.

— Zależeć to będzie od tego, co mi pan powie, potrzebować będę dowodów na pańskie twierdzenia. Zobowiązuję się jednak teraz wypłacić panu dwadzieścia funtów szterlingów za pańskie zwierzenie, jeżeli ono będzie miało jaką wartość, a drugie dwadzieścia funtów dam po stwierdzeniu tego. Przyrzekam panu nawet to: jeżeli pan wie coś, co mogłoby mnie wprowadzić wprost na ślady zbrodniarza z Greenleafhurst, postaram się zabezpieczyć panu przyszłość na przeciąg dziesięciu lat. Zdaje mi się, iż stawiam panu dobre warunki. Oto — rzekł, kładąc na stół wyjęte z kieszeni dwadzieścia funtów — pierwsza suma, jaką panu wręczę natychmiast po zeznaniu.

— To dobrze! To dobrze! — zawołał robotnik z błyszczącemi oczyma na widok rozłożonych pieniędzy — pan jest uczciwy!

— A więc słucham.

Barton zaczął opowiadać:

— Pan wie, że ja mieszkałem w dzielnicy poza Farringdon-Road i że tam spotkałem kobietę, która mi zapłaciła, bym udawał umierającego. Gdy się to wszystko skończyło, wpadłem w biedę, wyrzucono mnie z mieszkania i musiałem poszukać sobie innego w jednym z sąsiednich domów. Wtedy pewien znajomy wspomniał mi raz w rozmowie o lokatorce z parteru, jakiejś aktorce, lub coś w tym rodzaju, która była bardzo chora.

— Tak, to prawda, mogę to potwierdzić: co dalej?

— Ja tej kobiety nigdy nie widziałem, lecz, schodząc pewnego wieczoru po schodach, zobaczyłem tę drugą, która mi zapłaciła za to udawanie, wychodziła ona z pokoju aktorki.

— Jest to zupełnie naturalne, gdyż to ona była tą aktorką.

— O, wcale nie — zaprzeczył Barton, zdziwiony uwagą Hammertona.

— Jakto, co pan chce przez to powiedzieć? — zawołał jubiler powstając.

— To chcę powiedzieć, co mówię. Widziałem ją wychodzącą z pokoju chorej, nie mogłem jednak domyśleć się, co ona tam czyniła. Na drugi dzień dowiedziałem się, że nieszczęśliwa umarła i że odbędzie się śledztwo. Na razie wcale mnie to nie zadziwiło, wkrótce jednak pewna staruszka, która zajmowała sąsiedni pokój, zaczęła mi opowiadać różne historye: wspomniałem jej, że znam tę osobę, która przychodziła do chorej poprzedniego dnia. Dowiedziałem się wtedy, że tamta kobieta prosiła ją, by jej pozwoliła zostawić w pokoju kilka kart wizytowych i jakieś kawałki papieru i aby o tem nikomu nie mówiła.

— Boże! — zawołał Hammerton, chodząc wielkimi krokami po pokoju — to ta niegodziwa jeszcze raz wyprowadziła nas w pole.

— Ja nie wiem, proszę pana, co to wszystko ma znaczyć, widziałem jednak, że to nie bardzo jasna sprawa i postanowiłem poszukać pana i o wszystkiem pana zawiadomić.

Hammerton podsunął mu dwadzieścia funtów szterlingów.

— Proszę, niech pan weźmie; teraz, niech mi pan powie, w którą stronę skierowała się ta kobieta po wyjściu z domu; musiał pan to zauważyć.

Barton wstrząsnął przecząco głową:

— Nie, nie widziałem; poszedłem za nią, ale ona wsiadła do dorożki i odjechała. Ta stara mówiła mi, że ona przychodziła do aktorki już kilka razy, dowiadując się o jej zdrowie: mógłbym się założyć, że ona coś knuła.

— Tak, ma pan racyę — odpowiedział Hammerton zamyślony.

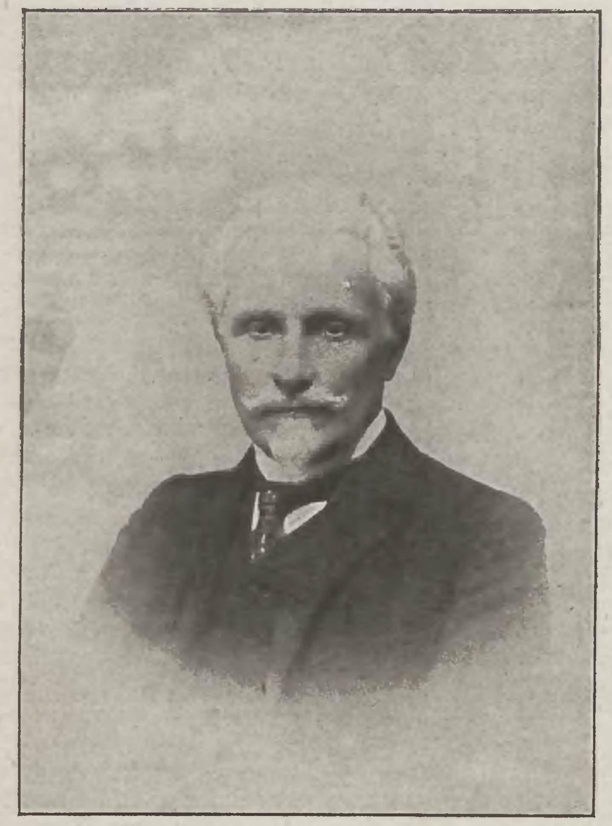
— Nie wiedziałem, czy to będzie dla pana pożytecznem, lecz ponieważ byłem bez grosza, chciałem przekonać się i okazało się, że dobrze zrobiłem.

— Tak, istotnie; pańska wiadomość jest dla mnie bardzo pożyteczną, jestem panu za nią wdzięczny. Zapytam się o jedną jeszcze rzecz: czy pan wie cośkolwiek o zabójcy z Greenleafhurst, czy wie pan, kto jest wspólnikiem tej kobiety? Niech pan namyśli się: szczodrze zapłacę za tę wiadomość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pożegnanie zasłużonego urzędnika i obywatela.

Wielce odpowiedzialna, ciężka, a nieraz niewdzięczna służba kolejarza, ma to jednak do siebie, że wyrabia często dzielne charaktery w ludziach, którzy swe siły poświęcają na usługi innych, a od



Pożegnanie zasłużonego urzędnika i obywatela: Nadinspektor kolejowy i radca miejski Klaudyusz Dębicki.

których sumienności w spełnianiu trudnych obowiązków, zależy nieraz ich zdrowie, życie, lub całość mienia.

Jednym z takich właśnie dzielnych kolejarzy, a przytem wzorowych obywateli, jest p. Klaudyusz Dębicki, nadinspektor kolejowy, dotychczasowy naczelnik dworca kolejowego w Krakowie i radca miejski, który po 37 latach służby przeszedł w stan spoczynku.

Pragnąc dać wyraz swym uczuciom względem zasłużonego współobywatela, kolegi i przełożonego, żegnali go urzędnicy kolejowi uroczyście z tej okazyi bankietem, wydanym w dniu 6 b. m. w salach Towarzystwa lekarskiego w Krakowie. W bankiecie tym, z którego podajemu udatne zdjęcie fotograficzne, wzięło udział oprócz urzędników kolejowych, także liczne grono obywatelstwa krakowskiego, a między innymi, posłowie do parlamentu: dr. Petelenz, dr. Staniszewski, dr. Sikorski, posłowie do Sejmu: dr. Leo, dyr. Bandrowski, Sare i Federowicz, wiceprezydent Szarski, liczni radcy miejscy, lekarze kolejowi itd.

Na honorowem miejscu zasiadł p. Dębicki, a po skończonej wieczerzy przemówił pierwszy p. Hugo Hudetz zastępca naczelnika stacyi Kraków - dworzec, aby go pożegnać imieniem urzędników i służby kolejowej, przyczem podniósł jego zasługi i osobiste zalety. Mówca zaznaczył z naciskiem, że inspektor Dębicki umiał pogodzić obowiązki swego urzędu z zapatrywaniami obywatela-patryoty, o przekonaniach wybitnie demokratycznych.

Dalej przemawiali: prezydent Leo, oraz inni mówcy, a zakończył przemówienia p. Bartoszewicz staropolskim toastem „Kochajmy się!“ przyjętym z gorącym aplauzem przez obecnych.

W czasie zebrania, które w podniosłym i serdecznym nastroju przeciągnęło się do północy, nadeszły liczne telegramy od kolegów i przyjaciół radcy Dębickiego, będącego wzorem dzielnego urzędnika i zasłużonego obywatela, co nie zawsze chodzi w parze.



Ofiara brutalnego napadu pruskiego: Pobity ciężko przez Niemców poseł Ludwik Dobija.



Pożegnanie zasłużonego urzędnika i obywatela: Uczestnicy bankietu urządzonego na cześć przechodzącego w stan spoczynku nadinspektora kolejowego i radcy miejskiego p. Klaudyusza Dębickiego (X

Kronika tygodniowa.

(Będzie wojna? — Kobiety górą. — Horoskopy na przyszłość. — Budżet. — Nowy minister, a Rudawa. — Kiełbasiana dyskusya w Radzie miejskiej. — Kraków się cywilizuje. — Run na kasy. — Program prac Rady Państwa. — Nasze znakomitości).

Gorączka wojenna do tego stopnia ogarnęła umysły Krakowian, że obecnie o niczem innem się nie mówi i nie pisze, jak tylko o wojnie. Gdzie wstąpisz, kogo spotkasz, każdy robi przypuszczenia, kiedy wojna wybuchnie i jaki będzie jej wynik. Nie zdziwiłem się też wcale, gdy wczoraj wszedłszy do handlu Kosza, kędy jako prawdziwy demokrata skoncentrowany, od czasu do czasu pokrzepiam swe siły baronowskiem piwem, zagadnięty zostałem przez jednego ze znajomych:

— A co łaskawy panie, będzie wojna?

Popatrzyłem na zegarek, dochodziła właśnie jedenasta wieczorem, więc znając wojownicze zapędy czcigodnej magnifiki mego przyjaciela, zakonkludowałem z całą stanowczością:

— Zdaje się, radco kochany, będzie, i to wkrótce!

No i proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdym nazajutrz spotkał zacnego radcę podpuchniętego i podrapanego. Jako prawdziwy przyjaciel wyraziłem mu zaraz współczucie, uśmiechnął się tylko gorzko i rzekł:

— Ani się spodziewałem, że tak rychło spełni się pańska przepowiednia! Wprawdzie nie była to wojna europejska, tylko w całem tego słowa znaczeniu domowa, ale mi się paskudnie dała we znaki! Oj ta moja stara!...

Tu westchnął pobożnie i ja z nim. No i proszę kogo, aby mi raczył wytłomaczyć, dlaczego nasze panie narzekają na upośledzenie niewieściego rodzaju przez męski, skoro właściwie, jak to zapewne niejeden z Czytelników w duchu (ale tylko w duchu! aby przypadkiem żona nie usłyszała!) mi przyzna, my, rodzaj męski, jesteśmy ową uciśnioną połową i my właściwie powinniśmy założyć Towarzystwo równouprawnienia mężczyzn, któreby wzięło w opiekę płeć brzydką przed atakami, tak zwanej płci pięknej. Utarło się zupełnie niesłusznie zdanie, że mąż jest głową domu, gdyż każdy zapomina o drugiej jego połowie: a żona jest szyją, która tą głową kręci! Bardzo mądre zdanie, stwierdzone doświadczeniem wiekowem, więc choćby tam pani Bujwidowa wygłosiła jeszcze kopę wykładów, w żaden sposób mnie nie przekona, aby niewiasta była ową uciśnioną częścią rodzaju ludzkiego.

Z drugiej strony przyznać muszę, że ucieszyła mnie owa rozmowa z szanownym radcą, właściwie nie rozmowa sama, ale okoliczność, iż moja przepowiednia tak się prędko spełniła. Gdyby tak spełniały się wszelkie objawienia, jakiemi nas codziennie darzą nasze dzienniki, wiedzielibyśmy już na pewne, czy będzie wojna, czy pokój, czy żyć sobie spokojnie, czy też pakować klajnigkajty i proprietety, aby być gotowym na każde wezwanie, gdy przyjdzie w szeregach c. k. landszturmu bronić granic naszej szerszej ojczyzny. Bo aż się kręci w głowie, gdy jednego dnia grzmią z nad Dunaju surmy bojowe, drugiego sytuacya już jest całkiem wyjaśniona, aby trzeciego powtórzyło się znowu wszystko na nowo od początku. Król Piotr, któremu w Belgradzie podobno zaciasno, wyjeżdża sobie do Kragujewaczu, dokąd nie doniosą austryackie armaty, książę Jerzy tymczasem asekuruje się na milion, ale nie może znaleźć Towarzystwa ubezpieczeń, któreby na tak małowartościowy przedmiot, jak jego osoba, chciało zaryzykować tak wielką sumę. Namyślałem się, czy to ma być prognozą pokoju, czy wojny, nic jednak nie udało mi się wykalkulować. Być może, że przyjazne przedstawienia mocarstw europejskich odniosą pożądany skutek, a Serbia, ochłonąwszy z wojennego animuszu, zacznie łatać dziury budżetowe, które przypominają stary płaszcz dziadowski.

Nie lepiej wygląda i nasz budżet austryacki, który także okazuje same łaty i dziury, a choć doświadczony krawiec, bo p. Biliński, zabrał się do ich cerowania, wątpię, czy mu się to uda, boć już podobno bł. pamięci Salomon twierdził, że z próżnego i mędrzec nie naleje. Mojem zdaniem, Austrya powinna się pogodzić z Serbią, już choćby tylko dlatego, że budżet austryacki jest jakby fotografią serbskiego, a dla mieszkańców Serbii prawdziwą przyjemność stanowią dodatki do podatków, które tak rozweselają od lat serca c. k. austryackich podatników.

Te wojenne rozmyślania przerwane zostały na chwilę wiadomościami z Wiednia, że pan Abrahamowicz usuwa się w zacisze domowego ogniska, a jego miejsce zajmuje pan Dulęba, pan bardzo elegancki, a z przekonań demokrata starego systemu. Zakotłowało się w całym kraju od Rudawy po Pełtew, uleciało w niebo sporo westchnień z powodu zawiedzionych nadziei, a były tak gorące, że pod ich wpływem zelżał mróz, a nawet Rudawa oburzona, że spostponowano demokratów nowszego systemu, wystąpiła z brzegów i srebrne swe fale rozlała po ulicy Łobzowskiej i Siemiradzkiego. Wprawdzie magistrat wezwał ją energicznie do porządku i cofnęła się zawstydzona do swojego koryta, jednakże zaznaczyła wyraźnie, że nie zgadza się z dotychczasowym porządkiem rzeczy. Co innego nasza poważna Wisła, ona, trzymając z konserwatystami, nie chce robić rządowi trudności, spokojnie też sączy się w swem korycie, czekając owej błogiej chwili, gdy przy pomocy obiecanego kanału, będzie mogła połączyć się na wieki ze swym ukochanym Dunajem, aby zamanifestować jedność krajów, reprezentowanych w Radzie Państwa.

Z tej właśnie przyczyny nasi rzeźnicy podnieśli na czas wielkiego postu ceny swych, a właściwie wieprzowych delikatesów o 30 procent, a choć o krzywdę Krakowian upomniał się na Radzie miejskiej radca Hałatkiewicz (bodaj tacy zacni mężowie rodzili się na kamieniu), rzeźnicy nie okazali się tak posłusznymi wobec magistratu, jak nasza Rudawa. Popuścili wprawdzie trochę z ceny, ale w każdym razie nie tyle, aby przeciętny śmiertelnik mógł sobie od czasu do czasu pozwolić na kawałek świńskiego ciała. Jest to wprawdzie rzecz zbawienna, gdyż w ten sposób będziemy mogli należycie wypełnić przykazania kościelne, odnoszące się do wielkiego postu, za co nas czeka niebo, do którego dostęp, dzięki konkurencyi pp. Szafrańskiego, Wolnego i Horakowej jest obecnie stanowczo ułatwiony.

Że Rada miejska ową wieprzową kwestyą zająć się nie mogła z należytą energią, to znowu w tem leży przyczyna, że część radnych nie mogła się wdawać w trefną dyskusyę ze względów wyznaniowych, druga zaś pod przewodnictwem radcy Bialika musiała milczeć ze względu na dobro własnej kieszeni. Gdybyśmy choć mieli, jak Lwów, konny tramwaj, moglibyśmy się cieszyć nadzieją, że po najdłuższej służbie poświęci magistrat na dobro naszych żołądków kilkanaście wysłużonych koni, które umiejętna ręka jakiegoś pana Babaczka przerobi na kiełbasy i salcesony, nie możemy się jednak i tego spodziewać, gdyż *primo*, tramwaj nie jest własnością miasta, a *secundo*, nie ciągną go konie.

Zapomnieliśmy jednak wkrótce i o tem zmartwieniu, ciesząc się, że zbliża się narodowe święto Purimu, w czasie którego jako tako człowiek się rozweseli. I ta nadzieja zawiodła, gdyż jak piorun z jasnego nieba spadła wiadomość, że mamy własnego Kubę Rozpruwacza i prawdziwych strzelających, zamaskowanych bandytów. Przerażenie ogarnęło cały Wielki Kraków, niewiasty bały się wychodzić na miasto, a kto miał w domu bodaj koronę mósł ją czpredzej do Hawełki, Wenzla, Suskiego lub Kosza, bo tam bezpieczniejsza, niż w domu. Jeden z moich znajomych, któremu sprzykrzyło się już jarzmo małżeńskie, umyślnie wysyłał swoją dobrodziejkę wieczorem, myśląc, że spotka się gdzieś z Rozpruwaczem, zawiodły go jednak nadzieje i już pogodził się z garbatym losem. Krakowska policya rozpoczęła energiczne śledztwo, a dla pomocy zaprosiła Sherlocka Holmesa ze Lwowa, tego samego, który już od pół roku jest na tropie mordercy Stoffów, jest więc nadzieja, że i Kuba Rozpruwacz jeszcze w pierwszej połowie bieżącego stulecia dostanie się w ręce karzącej sprawiedliwości, jeśli *nota bene* pierwej nie umrze, lub nie będzie zapowiedzianego końca świata.

Zamaskowani bandyci, którzy obrali Kraków za teren swych operacyi ekspropryacyjnych, przerazili nas jeszcze bardziej, lecz zanadto wczas dostali się pod klucz i obecnie rozpoczęli rozmyślania wielkopostne w klasztorze Św. Michała, narzekając na krakowską policyę, która wbrew ustawom zasadniczym ograniczyła ich wolność osobistą. Z tego powodu ma być nawet wniesioną interpelacya w parlamencie, a jako wzór dla krakowskiej władzy bezpieczeństwa postawiona będzie lwowska policya, która prawdziwie po obywatelsku obchodzi się ze swymi ofiarami i odznacza się energią i stanowczością. Telegrafują jej z Mysłowic: Jest Kurek! Odpowiada: Blaga, my wiemy, że Kurek jest w Ameryce!

Niech więc kto chce, co chce gada, Kraków się cywilizuje i jest naprawdę wielki, a choć policya temu przeszkadza, po owej, wyżej wspomnianej interpelacyi w parlamencie będzie daleko lepiej, a bandyci, pewni opieki prawa, przeniosą do Krakowa swoje Lary i Penaty, nic sobie nie robiąc z tego, że podobno straż akcyzowa ma dostać mannlichery, a policya dwie baterye haubic do obrony całości i bezpieczeństwa niepolitykujących Krakowian.

Mieliśmy także i maleńki run na kasy oszczędności. Zaniepokojona wojennemi wiadomościami publiczność, szczególniej z niższych sfer, słysząc nadto rozsiewane lekkomyślnie wieści, że w razie wojny rząd zabierze zapasy gotówki, ulokowane w kasach, gromadnie rzuciła się po odbiór swych oszczędności. Było w tem wiele roboty i owych ciemnych egzystencyi, które lubią łowić dla siebie ryby w mętnej wodzie, na szczęście jednak udało się uspokoić wzburzone umysły, i dziś nastąpił już zupełny spokój, choroblive podrażnienie ustąpiło. Na mnie wieści te nie zrobiły żadnego wrażenia i choć w pocztowej kasie oszczędności mam ulokowaną całą moją gotówkę w kwocie trzech koron, spałem zupełnie spokojnie, o ile pozwoliły mi na to kochane pluskwy, plaga wszystkich prawie mieszkań w starszych budynkach Krakowa. Jako czynnemu członkowi Towarzystwa Opieki nad zwierzętami, nie wypada mi występować przeciw nim wrogo, zresztą nawet nie mogę, gdyż kontrakt, jaki mam z właścicielem domu, wyraźnie postanawia, że mam oddać mieszkanie w takim stanie, w jakim je odebrałem. Niechby zresztą nawet i przepadły owe trzy korony, nie będą za niemi rozpaczał, zwłaszcza, jeśli mają być użyte na cel tak szlachetny, jak obrona granic Austryi i poskromienie buty rozszalałego serbskiego Jurcia. Postawiłbym tylko warunek, aby za ową monetę ufundowano haubicę lub moździerz, któryby po wieczne czasy nosił imię mojej przedwcześnie na uwiąd starczy zgasłej magnifiki, a rozmiarami i głosem przypominał jej zacne przymioty, które tak mi się głęboko wryły w pamięci.

Zdaje się jednak, że płonne są te obawy, gdyż do wojny nie przyjdzie, jeśli Rada Państwa nie uchwali kontyngentu rekruta, chybaby bar. Bienerth zdobył się na energię i rozpędził parlament na cztery wiatry, a konieczności państwowe załatwiał przy pomocy § 14.

W dniu 10 marca zjechali się znowu posłowie do Wiednia, ożywieni jak najpiękniejszemi chęciami do pracy i z rozjaśnionemi obliczami, że nareszcie znowu dyetki zaczną płynąć do kabzy. Naprzód jednak będą się kłócić, kto ma zostać po Weisskirchnerze prezydentem, potem znowu Czesi zaczną pojedynek z Niemcami, gotowo więc zbraknąć czasu na uchwalenie kontyngentu rekruta, z którego przecież posłowie osobiście nie odnoszą żadnych korzyści, a to dziś grunt i podstawa wszelakiej polityki. Jak się w parlamencie ułożą stosunki, przewidzieć nie można, to jednak pewne, że Czesi Bienerthowi nie dadzą spokoju, gdyż wyraźnie oświadczyli, iż zaprzestaną opozycyi tylko pod tym warunkiem, jeśli on pójdzie w odstawkę, a pan prezydent gabinetu, nie ma wcale do tego ochoty i postanowił raczej poświęcić parlament wraz z jego dyetami, aniżeli ustąpić ze swego fotelu, który jest bardzo wygodny. Wobec tego nie potrzebujemy się wcale obawiać, abyśmy tak rychło mieli owe obiecane kanały, albo nowy dworzec w Krakowie; politycy nasi mają przed sobą szersze horyzonty, nie mogą więc zwracać uwagi na takie drobnostki, nie wypada nawet naprzykrzać się zbytecznie rządowi, który obecnie jest w bardzo krytycznem położeniu. Wiadomo zaś powszechnie, że kto jest w kłopotach, jest bardzo drażliwy, mógłby się więc rząd rozgniewać i przepadłby niejeden orderek, do którego tak wzdychają nasi ojcowie narodu, wszelakich politycznych przekonań, a byłaby to dla kraju i narodu strata niepowetowana. Pocieszać nas może w owem trudnem położeniu myśl, że znakomitości mamy więcej niż każdy inny naród, a nawet słyszałem, że miasto nosi się z myślą zakupienia dawnego browaru Johnów i młynów królewskich, kędyby urządzono narodowy Panteon na ich pomieszczenie an koszt miasta lub kraju.

X.

Jubileusz pedagoga-muzyka.

Rzadki jubileusz obchodzi za dni kilka muzykalny, a specyalnie śpiewający Kraków. Oto znany nietylko u nas, lecz u wszystkich impresaryów oraz intendantów oper całej Europy maestro, słynący



Jubileusz pedagoga-muzyka: Prof. Mieczysław Horbowski.

jako wyborny nauczyciel śpiewu, profesor Mieczysław Horbowski, obchodzi swoje czterdziestoletnie gody ze sztuką śpiewaczą i pedagogią *bel cantu* koncertem, mającym się odbyć w sali starego teatru w dniu 15 b. m. W produkcyi tej weźmie udział oprócz samego jubilata liczne grono uczni i uczennic. Profesor Horbowski rozpoczął zawód śpiewacki debiutem w Trawiacie (Germont) po świetnie odbytych studyach w konserwatoryum warszawskiem, u profesora Ciaffei'ego we Włoszech, u Vannucimego i Lanpertiego, a w końcu u Roger'a w Paryżu. który młodego, obiecującego śpiewaka wprowadził na scenę paryskiego teatru „Sal' Ventador". Poza studyami u tych mistrzów zawdzięcza Horbowski bardzo wiele mistrzowi nad mistrze Janowi Reszkemu, który w ciągu całej jego karyery nie skąpił ani swych cennych rad, ani przyjacielskich wskazówek. Na scenach przebywał Horbowski mniej-więcej do r. 1884, lecz już znacznie przedtem przyjął obowiązki profesora śpiewu solowego w warszawskiem konserwatoryum. Występów scenicznych musiał zaprzestać wskutek wielkiej liczby uczni. W r. 1895 zaproszony do objęcia klasy śpiewu w państwowem konserwatoryum w Moskwie, pracuje na zaszczytnem tem stanowisku do r. 1907. Od tego czasu pracuje w konserwatoryum krakowskiem do dziś. wykształciwszy w krótkim czasie szereg uzdolnionych uczni (Asta Mayerówna, dr. Jendl, panny: Filipkówna, Holzmüllerówna, Łowczyńska itd.) Liczba uczni Horbowskiego jest wielka i obejmuje osoby które pracowały i pracują z chlubą dla sztuki na wszystkich niemal scenach tak zwanej karyery włoskiej — metoda bowiem Horbowskiego jest metodą włoską, a oprócz tego wielu doskonałych nauczycieli i nauczycielek śpiewu jemu zawdzięcza swą wiedzę.



Wygodne urządzenie: Wejście do wozu tramwajowego wiedeńskiego. Jedna część przeznaczona dla wsiadających, druga dla opuszczających wagon.

Niekoronowany król Ameryki.

Tak nazywają dzienniki angielskie Wiliama Tafta, który w dniu 4 bm., jako „pierwszy obywatel" Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej objął po Teodorze Roosevelcie władzę prezydenta. Na uroczystość, jaka odbyła się z tej okazyi, przybyło do Waszyngtonu przeszło pół miliona ciekawych, których nie odstraszyła fatalna pogoda, a mianowicie niebywała zawieja śnieżna. Z powodu tej zawiei pociągi przestały narazie kursować, tak, że mnóstwo z przybyłych, nie mogąc znaleść mieszkania w stosunkowo małym Waszyngtonie, musiało przepędzić noc pod gołem niebem o chłodzie i głodzie. Jaki zaś panował w dniu tym ścisk na ulicach Waszyngtonu, dowodzi fakt, że trzy osoby zagnieciono na śmierć, trzy inne uległy zgnieceniom bardzo ciężkim, a kilkaset odniosło lżejsze zranienia.

Bądź jak bądź, Taft, którego portret w otoczeniu żony i trojga dzieci podajemy w niniejszym numerze, jest do tej chwili bajecznie popularnym i witanym przy objęciu władzy z okazałością *quasi* mo-



Zuchwały napad bandytów w Krakowie: Agent policyi J. Iglicki, zraniony przez bandytów na moście podgórskim.
(Do artykułu na str. 2).

narszą, która nie była dotąd znaną w Stanach Zjednoczonych, słynących niegdyś z prostoty swych obyczajów republikańskich.

Wygodne urządzenie.

W wielkich miastach, gdzie ruch tramwajowy jest bardzo ożywiony, niejednokrotnie dawało się publiczności we znaki wsiadanie i wysiadanie z wo-



Niekoronowany król Ameryki: Wiliam Taft, prezydent Stanów Zjednoczonych z żoną i dziećmi.

zów tramwajowych. Choć u nas w Krakowie ruch nie jest ani w części tak wielki, jak w europejskich stolicach, mieliśmy nieraz sposobność doświadczyć na własnej skorze, jak przyjemne jest zdobywanie miejsca we wozie tramwajowym. Podróżująca publiczność, ogarnięta jakąś gorączką, nie czeka wcale, dopóki wysiadający nie opuszczą wozu, lecz siłą i mocą się wpycha, tamując w ten sposób drogę chcącym wysiąść. Powstaje skutkiem tego zamięszanie, które powoduje opóźnienie i nieregularne kursowanie wozów.

Aby temu zapobiedz, wprowadził zarząd tramwaju wiedeńskiego bardzo pożądaną innowacyę. Wejście do wozu podzielone jest na dwie części, opatrzone łatwo wpadającymi w oko napisami, jedna przeznaczona jest dla wsiadających, druga dla opuszczających wagon. Unika się w ten sposób ścisku i zamieszania, dającego się tak podróżnym we znaki. Życzyćby sobie należało, aby i zarząd krakowskich tramwajów, sprawiając nowe wozy dla swego parku, uwzględnił wygodę podróżujących i zaprowadził tak pożyteczne urządzenie. Kosztów to za sobą nie pociąga większych, a uwalnia zarząd tramwaju od licznych skarg i narzekań publiczności.

Rozszerzenie zakładu ogrodniczego.

Pomimo ciężkich warunków ekonomicznych w jakich znajduje się nasz kraj, a szczególniej Kraków, spostrzegamy z prawdziwem zadowoleniem, że ludzie rąk nie opuszczają, lecz skutecznie pracują nad tem, aby podnieść przemysł, rękodzieła i handel rodzimy. Powstaje wiele nowych przedsiębiorstw, a stare firmy pod kierownictwem sił młodych rozwijają się coraz pomyślniej.



Rozszerzenie zakładu ogrodniczego: Emil Freege.



Rozszerzenie zakładu ogrodniczego: Sala ekspedycyi nasion warzyw i kwiatów.

Jedną z takich starych, solidnych firm, dobrze znanych w Krakowie i całej Galicyi, jest firma „L. Freege“ przy ul. Lubicz l. 30, która przeszła obecnie na własność p. Emila Freegego.

Młody ten, energiczny i fachowy kierownik firmy działalność swoją rozpoczął od rozszerzenia wzmiankowanego zakładu ogrodniczego, pragnąc go postawić na wysokości pierwszorzędnych tego rodzaju zakładów europejskich, tak, aby mógł wytrzymać z nimi konkurencyę i w ten sposób przyczynić się przedewszystkiem do zwolnienia kraju od stosunków z ogrodniczemi firmami niemieckiemi.

Ubiegłego czwartku, t. j. 4 b. m., odbyło się uroczyste poświęcenie nowowybudowanych magazy-



Rozszerzenie zakładu ogrodniczego: Ogólny widok części Zakładu.

nów i biór administracyjnych w zakładzie pod firmą „L. Freege“, które wybudował obecny właściciel, nie szczędząc nakładu. Poświęcenia dokonał ks. kanonik Drohojowski, w obecności grona gości zaproszonych między którymi znaleźli się, obok przedstawicieli kupiectwa krakowskiego, liczni przedstawiciele obywatelstwa i duże grono przyjaciół osobistych właściciela firmy.

Zakład ogrodniczy, o którym mowa, założony został prawie pół wieku temu, bo 1860 roku, przez ś. p. Karola Freegego. Był on początkowo prowadzony w skromnych rozmiarach. Powiększył go zaś znacznie następny właściciel i kierownik ś. p. Ludwik Freege.

Jak zaznaczyliśmy wyżej, obecny właściciel p. Emil Freege, rozszerzył zakład znakomicie. Dzieli się on teraz na trzy główne działy, a mianowicie: a) składy nasion b) szkółki drzewek owocowych i c) magazyn kwiatowy. Interesem kwiatowym, mieszczącym się w Sukiennicach, kieruje siostra p. Freegego, pani M. Turetschek, która w znacznej mierze przyczyniła się do rozszerzenia tego działu Zakładu.

Na tem miejscu z naciskiem podnieść należy, iż nasiona, utrzymywane na składzie przez firmę „L. Freege“, pochodzą przeważnie z produkcyi krajowej. Te zaś nasiona, których z jakichkolwiek bądź powodów nie hoduje się w kraju, sprowadzane są z Francyi, Anglii, Włoch i Holandyi.

W dzisiejszym numerze podajemy zdjęcia fotograficzne, odnoszące się do tego zakładu. Przedstawiają one: skład nasion gospodarczych, salę ekspedycyjną nasion warzyw i kwiatów, personal biura administracyi, ogólny widok części zakładu, oraz portret jego dzielnego i sympatycznego kierownika, p. Emila Freegego.



Rozszerzenie zakładu ogrodniczego: Magazyn nasion gospodarczych.



Rozszerzenie zakładu ogrodniczego: Personal biurowy. 1. Właściciel i kierownik Zakładu Emil Freege, 2. buchalter B. Beauvalle, 3. Korespondent W. Andrzejewski, 4. manipulant J. Leńczowski, 5. kasyer A. Byrski.

Ofiara brutalnego napadu Prusaków.

(Do illustracyi na str. 13).

Bezczelność Niemców, zamieszkujących zachodnie kresy galicyjskie, przechodzi już granice. W ubiegłą niedzielę prusofile bielscy, grupujący się koło „Nordmarku“ dali znowu występ, w którym dobitnie wykazali wyższość niemieckiej kultury, na cześć której pieją takie hymny pochwalne.

Tego dnia wieczorem wracał do Białej poseł Dobija w towarzystwie kilku znajomych i zatrzymał się w restauracyi kolejowej w Dziedzicach, czekając na pociąg odchodzący w kierunku Białej. W tej samej sali siedziała grupa bielsko-bialskich „nordmarkowców“, którzy, ujrzawszy Polaków, postanowili ich sprowokować, zaczęli też rzucać w ich stronę docinki i śpiewać parodye pieśni polskich. Polacy nie reagowali na zaczepkę a Niemcy nie czuli sie widocznie na własnym gruncie i nie przystąpili do czynnej napaści. Dopiero w Białej rozpoczęła się awantura. Korzystając ze swej liczebnej przewagi, rzucili się Niemcy w wagonie na Polaków, bijąc ich niemiłosiernie. Posła Dobiję, który we własnej obronie dobył rewolweru, wcisnęli hakatyści w głąb wagonu i tam go ciężko pokaleczyli. Od lasek odniósł on na głowie trzy głębokie rany, na innych podarto odzienie i dotkliwie ich pobito. Personal kolejowy nie wystąpił wcale w obronie pobitych, a zaweznany urzędnik ruchu odmówił interwencyi. Gdy pociąg stanął w Bielsku a publiczność, zaalarmowana krzykami dochodzącemi z głębi wagonu, chciała się tam dostać, Niemcy, otoczywszy wóz, nie dopuścili nikogo. Dopiero, gdy pociąg ruszył w dalszą drogę, wyskoczyli Niemcy, zostawiając oblaną krwią ofiarę swege rozbestwienia.

Główną rolę odegrali w tem zajściu polscy renegaci z Bielska. Spodziewiać się należy, że władze poskromią z całą surowością bandytyzm pruskich hakatystów, którzy zawiele sobie pozwalają na naszej własnej ziemi. W miarę zbliżania się rocznicy Grunwaldu, pruska gadzina nabiera coraz więcej jadu, którym bezczelnie plwa na wszystko, co nie niemieckie!

Zimowe manewry w Alpach.

(Do illustracyi na str. 10.)

Dwie interesujące ryciny jakie podajemy w niniejszym numerze, odnoszą się do ćwiczeń, które odbywają zimą w Alpach włoscy strzelcy alpejscy, t. zw. „Alpini“. Armia włoska liczy 22 bataliony tych strzelców, specyalnie wyćwiczonych i wyekwipowanych do walki w terenie górskim. Ponieważ całą północną granicę Włoch od strony Francyi, Szwajcaryi i Austryi stanowią Alpy i ich rozgałęzienia, przeto na wypadek wojny tym strzelcom przypadnie w udziale bardzo ważne zadanie.

Zarząd wojskowy francuski zrozumiał także doniosłość podobnych oddziałów piechoty i od dawna już utworzył piesze oddziały strzelców, mogących oddać Francyi wielkie usługi na południowo-wschodniej granicy.

W Austro-Węgierskiej armii rolę włoskich „Alpini“ odgrywają Tyrolscy strzelcy cesarscy, 16 batalionów, oraz Tyrolscy strzelcy krajowi 8 batalionów, razem 24 batalionów, którym sekunduje odpowiednia ilość bateryj górskich.

Głosy publiczne.

Papier Słowackiego. Komitet obchodu setnej rocznicy urodzin J. Słowackiego we Lwowie, zwraca się do P. T. Publiczności z uprzejmą prośbą, by przy zakupnie papierów listowych żądała w sklepach papierów Słowackiego, wyrobu jedynej w kraju fabryki

S. W. Niemojowskiego we Lwowie

Część dochodu z rozsprzedaży tego papieru przeznaczona jest na fundusz budowy pomnika poety, a ponieważ ceny w niczem się nie różnią od cen innych papierów, przeto P. T. Publiczność zakupując papier Słowackiego, *bez żadnego dla siebie* uszczerbku, przyczyni się do wystawienia pomnika poecie.

Papier Słowackiego jest do nabycia we wszystkich sklepach we Lwowie w Krakowie i w miastach prowincyonalnych, a gdzieby go nie było, zwrócić się należy wprost do fabrykanta S. W. Niemojowskiego we Lwowie.

Z półek księgarskich.

MACIERZ POLSKA. Celem uczczenia setnej rocznicy pamiętnego boju na polach raszyńskich wydała Macierz Polski książeczkę p. t.: **Bitwa pod Grunwaldem** pióra dra *Adama Skałkowskiego*. Nie suche to opowiadanie, lecz szereg barwnych obrazów, działających na wyobraźnię i na uczucie. Ale choć autor pisze dla warstw najszerszych i ma cel jasno określony poznać, że czasy te zna doskonale, to też dorzuca niejeden szczegół cenny i dla kół fachowych. Książeczka liczy stron 39, i zawiera 7 rycin i mapkę Księstwa Warszawskiego. Cena 25 halerzy.

Odpowiedzi Redakcyi.

WP. Władysław Lewicki Lwów: Prosimy.

WP. Jan Litra Rzeszów: Rozwiązanie Pańskie zapisane jest pod Nr. 2024. jak się Pan o tem może przekonać, przeglądnąwszy spis dokładniej.

WP. Karol M. Lwów: Wspomnianego rękopisu nie otrzymaliśmy wcale.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Łamigłówka: Muzyka.

Kwadrat magiczny: Korab, obora, rożen, arena, banan.

Szarada: Karawana.

Zadanie konikowe: Panie wysłuchaj modlitwę moją, przyjmij w uszy prośbę moją w prawdzie Twojej, wysłuchaj mnie w sprawiedliwości Twojej.

Szarada: Kapitał.

Zagadka przysłowiowa: Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyje.

Szarada: Amor, Roma.

Łamigłówka: Michał Andriotti.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp.: O. Górkowa Chyrów, A. Biliński Tarnopol, H. Majewski Łódź, W. Lesińska Warszawa, R. Radoszyński Tarnopol, J. Hupert Lwów, Etienne Przemyśl, Z. de Boulangé Gawłówek, Z. Gaudnik Stary Sącz, M. Howorkowa Lwów, W. Lewicki Lwów, K. Fuchs Czeremchów, R. Bieda Sosnowiec, M. Klappholz Kraków, A. Altmann Kraków, E. Tyszarski Drohobycz, A. Jezierski Kraków, H. Chodkiewicz Warszawa, Czytelnia T. S. L. Milile, J. Różniatowski Jabłonów, A. Bierzecka Lisko, W. Kocyłowski Limanowa, J. Badura Rożdzień, L. Witekowa Mościska, E. Bogdalska Koropuż, M. Opolska Czarny Dunajec, J. Trochimczukowa Cieszanów, S. Cześnikiewicz Kraków, S. Danziger Osiny, A. Bocsoń Bóbrka, W. Laskowiski Warszawa, W. Kowarzyk Lwów, M. Małaczyński Pikułowice, J. Gawrońska Kamionka Strumiłowa, J. Augustynowicz, Żywiec, F. Niepokój Krosno, J. K. Januszewski Podgórze, A. Polończykowa Żywiec, A. Zimmer Lwów, W. Bilinkiewiez Kraków, H. Mastalski Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **R. Radoszyński** Tarnopol. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki rekomendowanej.

Kącik humorystyczny

*** Kochany siostrzeniec.**

Stara ciotka (z wyrzutem): Wiesz mój drogi Antosiu, tak dalej być nie może! Wszystkie pieniądze, które ci daję, ty przepijasz!.... Jam się już rozchorowała!

Siostrzeniec (akademik): To mnie ogromnie dziwi, kochana ciociu!... Wszak ja zawsze piję cioci zdrowie!...

+ Nowomodny głodomór.

— Wyobraź sobie w Wiedniu produkował się jakiś Arab, który nie spał przez 25 nocy i nie jadł 25 dni!

— Wielka sztuka! I ja to samo potrafię.

— Niemożliwe.

— Ależ słowo ci daję! Będę jeść tylko w nocy, a spać tylko w dzień! Nawet dłużej wytrzymam niż tamtem.

Nadesłane.

Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Loroux.

(Ciąg dalszy).

— Oh! to on!... nie poznaje już mnie!...

Pociągnął mnie w wąską uliczkę, która wybrukowana ostremi kamieniami, zbiegała po ostrej pochyłości w dół. Trzymał mnie za rękę, czułem, że jeszcze ma gorączkę. Zatrzymaliśmy się przed małą świątynią i weszliśmy do środka pod wdzięczne sklepienie; w głębi, na grobowych kamieniach, klęczały marmurowe postacie książąt królewskich.

— Kaplica kolegium — rzekł mi po cichu.

Nie było w niej nikogo.

Przeszliśmy ją całą. Na lewo Rouletabille popchnął lekko małe drzwi, wychodzące na rodzaj małego podsienia.

— Chodźmy — rzekł szeptem — wszystko dobrze. Weszliśmy do kolegium i portyer nie widział nas. Zaraz poznałby mnie!

— Cóż w tem byłoby złego?

W chwili tej jakiś człowiek z gołą głową i pękiem kluczy w ręku, przeszedł koło podsienia, Rouletabille skrył się w cieniu.

— To ojciec Simon! Ach! jak on się postarzał! Już wcale nie ma włosów. Aha, idzie teraz zamiatać pokoje małych... Wszyscy są teraz w klasach... będziemy swobodni! W loży swej jest tylko matka Simon, o ile już nie umarła. W każdym razie nie zobaczy nas stąd... Ale poczekajmy, ojciec Simon wraca!...

Dlaczego Rouletabille tak się ukrywał? Dlaczego? Istotnie, nic o nim nie wiem, choć tak dobrze go znam! Każda godzina przebyta razem z nim, przynosiła mi nową niespodziankę. Czekając, aby ojciec Simon zostawił nas samych, wyszliśmy na mały wirydarz za drzewka, skąd mogliśmy swobodnie przyglądać się zabudowaniom kolegium i drugiemu wielkiemu dziedzińcowi. Rouletabille trzymał się mnie pod ramię, jakby bał się upaść.

— Mój Boże! jak tu wszystko powywracano! Zburzono starą szkołę, „gdzie odnalazłem nóż“ i „gdzie on chował pieniądze“.... Mury jednak kaplicy pozostały na swojem miejscu. Popatrz, Sainclair, nachyl się, tamte drzwi prowadzą do wstępnej klasy. Ileż to razy przechodziłem przez nie, gdy byłem małym chłopcem... Nigdy jednak nie wychodziłem z nich tak zadowolony i radosny, jak wówczas, gdy ojciec Simon przychodził po mnie, bym szedł do parlatoryum, gdzie czekała na mnie dama w czerni... Oby tylko nie zmienili parlatoryum!

Nachylił się i spojrzał.

— Nie, nie!... Popatrz, tam parlatoryum!... pierwsze drzwi na prawo..... tam ona przychodziła..... pójdziemy tam zaraz, gdy ojciec Simon wróci do siebie...

Drżał cały.

— Zdaje mi się, że zwaryuję... Cóż chcesz? Jest to nad moje siły... Myśl, że zobaczę parlatoryum, gdzie ona mnie oczekiwała... Żyłem w ciągłej nadziei ujrzenia jej i gdy ona odchodziła, wpadałem w jakąś rozpacz, tak iż obawiano się o moje zdrowie. Dopiero gdy mi powiedziano, że nie ujrzę jej, jeżeli będę chory, zapanowywałem nad sobą. Aż do nowej wizyty pozostawałem z jej wspomnieniem i jej zapachem. Nigdy nie mogłem dobrze przypatrzeć się jej twarzy, a gdy mnie przytulała do siebie, zapach jej odurzał mnie i więcej też żyłem z nim, niż z jej rysami. Po jej wizytach biegłem często w czasie reakcyi do parlatoryum, gdy ono było puste, by oddychać tem powietrzem, którem ona oddychała, by przepoić się zapachem, jaki po sobie zostawiała... Był to najdelikatniejszy, najsubtelniejszy, najłagodniejszy i najzupełniej naturalny zapach, jakiego nigdy już potem nie czułem, aż do dnia, o którym już ci mówiłem... Przypominasz sobie... dzień przyjęć w pałacu elizejskim...

— W dniu tym spotkałeś Matyldę Stangerson...

— Tak!... — odpowiedział drżącym głosem.

....Ach! gdybym ja wiedział wówczas, że córka profesora Stangersona miała z pierwszego swego małżeństwa w Ameryce syna, który, jeżeli żył, musiałby być w wieku Roulatabille'a, może pojąłbym po jego wycieczce w te strony wzruszenie, z jakiem wymawiał imię Matyldy Stangerson w kolegium, w którem go dawniej odwiedzała dama w czerni!

Nastało milczenie, którego nie śmiałem naruszyć.

— I nigdyś się nie dowiedział, dlaczego dama w czerni nigdy już nie przyszła?

— Oh, jestem pewny, że dama w czerni powróciła... Lecz to ja wyjechałem...

— Kto po ciebie przyjechał?

— Nikt!... uciekłem!...

— Po co?... By jej szukać?

— Nie, nie!... by od niej uciec! by od niej uciec... Lecz ona powróciła!.... Jestem pewny, że powróciła...

— Musiała być zrozpaczona, że cię nie zastała!...

Rouletabille podniósł oczy do góry, wstrząsając głową.

— Czy ja wiem?... Czy można wiedzieć?.. Ach, jestem nieszczęśliwy!... Pst, pst!... ojciec Simon... tam... wraca wreszcie!.... szybko do parlatoryum....

W kilka chwil byliśmy już tam. Był to banalny, dość duży pokój z białemi firankami w oknach. Stało w nim sześć krzeseł wyplatanych, nad kominkiem wisiało lustro i zegar. W pokoju było dość ciemno.

Gdyśmy weszli do środka, Rouletabille zdjął czapkę podróżną z głowy z namaszczeniem, jakie odczuwamy tylko w miejscach świętych i klęcząc ją w palcach, posuwał się naprzód, zaczerwieniony i zmieszany. Zwrócił się do mnie i szeptem ciszej jeszcze niż w kaplicy, odezwał się:

— Oh, Sainclair, otóż i parlatoryum!... Dotknij się mych rąk, jak są rozpalone... gorąco mi, muszę być czerwony, prawda?... zawsze czerwieniłem się, gdy wchodziłem tutaj, do niej... Tak, biegłem teraz, zadyszałem się.... nie mogłem już czekać... Oh! jak serce mi bije, tak jak wówczas gdy byłem mały... Popatrz... przychodziłem tutaj i zatrzymywałem się przy drzwiach zawstydzony... Spostrzegałem jej postać w rogu; wyciągała do mnie ręce i zaraz rzucałem się w jej objęcia i płakaliśmy oboje... Było mi dobrze! To była moja matka Sainclair!... Nie powiedziała mi tego; przeciwnie, twierdziła, że moja matka już umarła i że jest tylko jej przyjaciółką... Lecz gdy mi mówiła, bym nazywał ją „mamą“ i gdy płakała, jak ją całowałem, domyśliłem się, że to moja matka... Patrz, siadała zawsze w tym ciemnym kącie; przychodziła, gdy zmierzch zapadał, jednak przed zapalaniem świateł... Na oknie kładła zawsze duży biały pakiet, obwiązany czerwonym sznurkiem. Były to pierniki. Lubię teraz je bardzo!

Rouletabille nie mógł się już powstrzymać. Oparł się o kominek i rozpłakał się. Uspokoił się po pewnym czasie, podniósł głową i spojrzał na mnie ze smutnym uśmiechem. Potem siadł bardzo zmęczony. Nie odzywałem się ani słowem, czułem, że nie ze mną rozmawia, lecz ze swojemi wspomnieniami.

Ujrzałem, jak z bocznej kieszeni wyjął list, który mu wręczyłem i rozpieczętował go drżącemi palcami. Czytał go wolno. Nagle ręce go opadły i jęknął żałośnie. Przed chwilą czerwony, stał się tak bladym, jakby mu wszystka krew wypłynęła z serca. Zrobiłem krok naprzód, lecz powstrzymał mnie giestem, potem zamknął oczy. Mogłem sądzić, że śpi. Odszedłem lekko na palcach jakby w pokoju chorego. Oparłem się o okno wychodzące na mały dziedziniec z wielkim kasztanem pośrodku. Nie wiem, ile czasu pozostawałem tak w ciszy. Myślałem o dziwnem i tajemniczem przeznaczeniu swego przyjaciela... o tej kobiecie, która tak mogła być jego matką, jak i nie być!... Rouletabille był wtedy tak młodym i tak odczuwał potrzebą matki, iż mógł ją w niej upatrywać.... Jakież jest jego nazwisko? Józef Josephin... Tak był zapewne zapisany w kolegium... Józef Josephin, jak mawiał redaktor: „To nie jest żadne nazwisko, takie!“ A teraz po co tu przybył? Szukać śladu zapachu!... Przeżywać na nowo wspomnienia?... iluzye?...

Obróciłem się przy szmerze, jaki uczynił. Wstał: wydał się spokojniejszym; miał wyraz twarzy ludzi, którzy odnieśli nad sobą wewnętrzne zwycięstwo.

— Sainclair, musimy już iść... Chodźmy, przyjacielu, chodźmy.

I opuścił parlatoryum, nie patrząc za siebie. Poszedłem za nim. Na pustej ulicy, na którą wyszliśmy niezauważeni przez nikogo, zatrzymałem go i zapytałem:

— I co, mój drogi... odszukałeś zapach damy w czerni?...

Czuł w mem zapytaniu całe me serce, pełne gorącego pragnienia, by odwiedziny miejsc dziecięctwa przyniosły spokój jego duszy.

— Tak — odpowiedział bardzo poważnie. — Tak, Sainclair... odnalazłem go...

I pokazał mi list córki profesora Stangersona.

Spojrzałem na niego zdziwiony, nie rozumiejąc ponieważ nie wiedziałem... Objął mnie wtedy rękami i rzekł:

— Powierzę ci wielki sekret... sekret mego życia, a może, przyjdzie czas, że i mojej śmierci.... Coby się jednak nie stało, umrze on z tobą i ze mną!... Matylda Stangerson miała dziecko... syna... ten syn umarł, *umarł dla wszystkich z wyjątkiem ciebie i mnie!...*

Cofnąłem się przerażony, oszołomiony tem wyznaniem... Rouletabille syn Matyldy Stangerson!.... Nagle zatrząsłem się cały... W takim razie!... W takim razie!... Rouletabille jest synem Larsana!

Oh! Zrozumiałem teraz wszystkie wahania Rouletabille'a... Zrozumiałem, dlaczego powiedział mi rano: *Jeżeli on żyje, jabym wolał być już martwym!*

Rouletabille wyczytał to zapewnie w mych oczach i dał znak głową, jakby chciał potwierdzić: „Tak Sainclair, tak jest w istocie!“

Myśl swą skończył głosno:

— Milczenie.

Po przybyciu do Paryża, rozstaliśmy się, by spotkać się znowu na dworcu. Tam podał mi Rouletabille nową depeszę, wysłaną z Walencyi i podpisaną przez profesora Stangersona: „Darzac oznajmił mi, że ma pan urlop. Będziemy bardzo zadowoleni, jeżeli pan przybędzie spędzić go znami. Oczekujemy pana w Czerwonych Skałach u pana Artura Bance, który z wielką radością przedstawi pana swej żonie. Córka moja również będzie bardzo zadowolona z przyjazdu pana. Łączy swe prośby z mojemi. Pozdrowienia.“

Gdyśmy już weszli do wagonu, portyer z domu Rouletabille'a podbiegł szybko i przyniósł nam trzecią depeszę. Była z Mentony podpisana przez Matyldę. Składała się z dwóch tylko słów: „Na pomoc.“

VI.

Teraz wiem wszystko. Rouletabille opowiedział mi swe niezwykłe, awanturnicze lata dziecięce i rozumiem już, dlaczego tak obawia się, by Matylda nie przeniknęła tajemnicy, która ich rozdziela. Nie śmiem już nic mówić, nic radzić swojemu przyjacielowi. Ach! nieszczęśliwy biedny chłopiec!... gdy przeczytał tę depeszę *na pomoc!* dotknął się jej ustami a potem ściskając mnie za rękę rzekł: Jeżeli przybędę za późno, *pomszczę nas!* Ach! z jaką zimną i dziką stanowczością wymówił to! Był spokojny teraz!... Jakie postanowienie powziął w parlatoryum, gdy milczący, z przymkniętemi oczami stał w rogu, w którym siadywała dama w czerni?...

Jakaż pierwsza jego młodość była dziwna!.... Rouletabille uciekł z kolegium jako złodziej. Nie mam potrzeby szukać innego określenia, gdyż sam się oskarżył o kradzież! Oto cała historya: w dziewiątym roku życia był już obdarzony przedwczesną inteligencyą, potrafił rozwiązywać zadania najdziwniejsze i najtrudniejsze. O niezwykłej sile myślowej, nie pozostającej w żadnym stosunku z jego prostotą i nieułożonością umysłu, zadziwiał profesora matematyki swoim filozoficznym sposobem pracy. Nigdy nie mógł nauczyć się tabliczki mnożenia i zawsze liczył na palcach.

(Ciąg dalszy nastąpi)